Nr. 151. Lwów — Piątek dnia 3 Lipca. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jak to o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Preaumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 3 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 20 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Heliodora — Julyanna M. | Jutro: św. Józefa Kal. — Jewsewya

Adres Redakcyi i Administracyi: **Ulica Sykstuska l. 45.**

Naczelny Redaktor i Wydawca: **LUDWIK MASŁOWSKI.**

Wschód słońca g. 4 m. 12 | Zachód „ „ 7 „ 56

Długość dnia g. 15 m. 44 | Ubyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 2 lipca.

Dzienniki rosyjskie przerwały spór o metodę postępowania w ziemiach polskich, bo od słowa do słowa przyszło między niemi do niegrzecznych wymyślań. Tej rozprawie, zakończonej tak niesmacznie, poświęcił *Graždanin* następujące uwagi: „Czyż naprawdę znajdujemy się jeszcze na tym stopniu umysłowego rozwoju, na którym każdy przeciwnik wydaje się nam nicponiem, zasługującym jeno na to, by go porwać za czuprynę i ściągnąć na policyę, albo do prokuratora, jako zdrajcę stanu, którego trzeba zarznąć? A przecież podczas sporu o kwestyi polskiej okazało się, żeśmy bardzo bliscy takiej karczemnej cywilizacyi. Tymczasem pozostał fakt niezbity, że oto już 33-ci rok mija od rządów Murawjewa, a my zawsze jeszcze stoimy przed pytaniem: co lepsze — dusić, szczuć i drażnić Polaków, aby ich zrosyanizować, czy też pogodzić ich z Rosyą postępowaniem spokojnem i logicznem, szanującem to, co warte szacunku, a tępiącem wszystko godne wytępienia? Skoro takie pytanie wciąż przed nami stoi, nie jest-że to dowodem, że system, wykonywany w kraju zachodnim od lat tylu, na nic się nie zdał. Po dawnemu jedni prawią, że trzeba Polaków tępić, bo oni gotowi się zbuntować, a inni dowodzą, że właśnie dlatego Polacy nie mogą się uspokoić, iż są systematycznie jątrzeni. Cóż to znaczy, że po 33-ch latach systemu zaczepek i prześladowań zawsze jeszcze stoimy na tym samym punkcie pojmowania sprawy polskiej? Według mnie, to znaczy, że system w każdym razie jest wadliwy i przy wykonaniu natrafia na zasadnicze przeszkody. A jeśli tak, to jużci najmniej taką samą racyę mają ci, którzy ganią taką politykę, jak i owi, którzy jej bronią. Przypuśćmy, że w istocie polskość i katolicyzm grożą całości i spokojowi Rosyi. W takim razie trzeba karczemnie wymyślać na to, że nieskuteczne są środki, zastosowane do Polaków, które miały osłabić tę niebezpieczną dla nas siłę, a nie osłabiły jej; w żadnym zaś razie nie zasłużyli na łajanie ci, którzy szukają innych środków na grożące niebezpieczeństwo. Ale gadajże tu z naszymi karczemnikami!“

W dalszym ciągu swych pessymistycznych rozumowań redaktor *Graždanina* książę Meszczerski pyta: „Z czem my idziemy na Wschód, do tych narodów azyatyckich, które do nas się garną? Czy nie zawiedziemy ich oczekiwań?“

Na to pytanie odpowiedziano z obozu zwolenników systemu, wykonywanego od czasów Murawjewa: „Ma słuszność książę Meszczerski! Fatalne prądy, które podminowały naszych inteligentów, narzucają nam złośliwą rolę propagatorów wszelkiej obydy zachodnio-europejskiej i tę ohydę jeszcześmy gotowi zanieść narodom azyatyckim, jak zanieśliśmy ją Bułgarom i Serbom, których zdemoralizowaliśmy nędzną konstytucyą. Naszym wypaczonym inteligentom zawdzięczamy ten błąd, że zgniłe porządki europejskie zostały zastosowane do państwowego życia Słowian. Ci inteligenci chcieliby i u nas zaprowadzić ową paplarnię, zwaną parlamentem, aby na szmatki podrzeć carską władzę. Jednak na szczęście nasi mężowie stanu, którzy dwadzieścia lat temu hołdowali systemowi państwowemu, opartemu na paplarniach, już dziś przejrzeli, że takie błazeństwo może jest dobre dla starczych narodów europejskich, ale nie dla nas, młodych i zdrowych. Nasi inteligenci już wiedzą, że paplarni u nas nie zaprowadzą; więc wzięli się na sposób i oto przemycają socyalizm, tę chorobę europejską, straszniejszą jeszcze od konstytucyi. Jeśli narodom azyatyckim zaniesiemy socyalizm, to pomyślmy jeno, co się stanie, gdy setki milionów Mongołów zarażą się tą chorobą. Zniknie wszystko pod ich niszczącą falą. Dlatego nam, idącym na Wschód azyatycki, trzeba nielitościwie tępić dwie pokrewne sobie zarazy: konstytucyjność i socyalizm!“

Z tej odpowiedzi można wnosić, że ostatnie robotnicze rozruchy w Rosyi dadzą powód do jeszcze większego skrępowania myśli i do skrajnego teroryzmu czynowniczego.

Kreteńczycy nie przyjęli dotąd pokojowej oferty sułtana. Zamianował on Jerzego Borowicza, zwanego Georgi-baszą, a pełniącego urząd księcia wyspy Samos, wielkorządzcą Krety. Dygnitarz ten jest prawosławnym Albańczykiem, zatem osobą, jakiej właśnie żądali Kreteńczycy. Ponieważ jednak Abdullah-basza, który twardą ręką tłumił powstanie, otrzymał jednocześnie godność marszałka i pozostał na wyspie jako naczelny dowódca siły zbrojnej, przeto Kreteńczycy uznali, że istotna władza będzie się znajdowała w rękach muzułmanina, który okazał się dla nich bezwzględnym, zaś wielkorządzca Georgi-basza będzie jeno malowanym namiestnikiem. Z tego powodu nie przyjęli oni wezwania na sejm krajowy, który miał być otwarty w poniedziałek. Niektórzy deputowani chrześcijańscy z początku chcieli przybyć na sejm, lecz obawiając się podstępu, zażądali od konsulów rękojmi, iż życiu ich i swobodzie nic nie grozi ze strony tureckiej, która w stolicy czuje się panią. Oczywiście, konsulowie, chociaż namawiali deputowanych do przybycia na sejm, nie mogli jednak dać żadnej rękojmi, bo to przekraczałoby zakres ich możności i obowiązków. Więc odmówili, a wówczas żaden chrześcijański deputowany nie przybył do stolicy. Tak stały rzeczy w poniedziałek, od tej jednak chwili zapewne zdołano pozyskać kilku greckich deputowanych, bo na nowy termin otwarcia sejmu, na wczorajszą środę, zjawili się oni w stolicy, jednocześnie z całym zastępem muzułmańskich deputowanych, których jest 39 ciu. Z kilku Grekami stanowią oni nieco więcej niż połowę sejmu, który się składa z 80 ciu posłów. Tej połowie odczytał Georgi-basza odezwę sułtańską, zapraszającą deputowanych do wspólnej z rządem pracy nad uspokojeniem wyspy, z czego wynika, że namiestnik uważa połowiczny sejm za uprawniony do uchwał w imieniu całości. Zapewne jednak Kreteńczycy inaczej zapatrują się na tę sprawę, bo rząd rewolucyjny, który tam się nazywa Epitropią, wezwał grecką ludność do wyboru posłów na sejm własny, niezależny od sułtana. To zgromadzenie ma się odbyć w Silosie, gdzie rezyduje Epitropia, i uchwalić podatek na prowadzenie wojny z Turcyą, oraz ułożyć warunki pokoju podług wniosków opracowanych przez Epitropią. Ponieważ ten rząd rewolucyjny składa się z zaciętych wrogów Turcyi, a zwolenników walki do ostateczności, przeto opracowane przez nich warunki pokoju zapewne są bardzo twarde. Z tego powodu panuje w Konstantynopolu przekonanie, iż pośrednicząca akcya ambasadorów przewlecze chaos na wyspie. Porta zamierzała pierwej stłumić powstanie, a dopiero później zaprowadzić reformy, lecz musiała zgodzić się na żądanie ambasadorów, aby wojenne operacye były wstrzymane i aby zwołanie sejmu i ogłoszenie amnestyi skłoniło Kreteńczyków do złożenia broni. Ma się rozumieć, że dziś łatwo jest tak mówić wielkiemu wezyrowi, który w dodatku winę powstania zwalił, w rozmowie z redaktorem *Nowej Pressy*, na emigrantów, korzystających z łaskawej gościnności i opieki ateńskiego rządu. Może trafniej zapatruje się na rzeczy szef greckiego gabinetu p. Delyannis, który do pewnego korespondenta tak mówił: „Dziesięć lat temu zliczono na Krecie jej zaludnienie i okazało się, że mieszka na niej pół miliona Greków; zliczono tę ludność znowu przed rokiem i przekonano się, że Greków jest tylko 300 tysięcy. Przecie takie zmniejszenie się ludności nie dowodzi pomyślności kraju. Dam drugi argument. W ostatnich trzech latach wszystko, co przyniosły podatki, wywieziono do Konstantynopola. Na wyspę nie wydano ani piastra. W tym czasie żadnemu urzędnikowi i żołnierzom szesnastu batalionów, stojących na wyspie, nie wypłacono pensyi. Ci urzędnicy nie posiadają własnego majątku, a żołnierze nie pracują na swe utrzymanie, a jednak i jedni i drudzy nietylko z głodu nie wymarli, lecz owszem, mają się bardzo dobrze. Niech to panu wytłómaczy fakt na pozór dziwny, że w ciągu lat dziesięciu cyfra ludności greckiej spadła z pół miliona na 300 tysięcy. Nie sądź pan, że mocarstwa o tem nie wiedzą, albo że naprawdę wierzą w możliwość odrodzenia się Turcyi. One po prostu nie mogą sobie wyobrazić, coby się stało, gdyby się naraz zwichnęła równowaga na europejskim wschodzie. Państwu greckiemu nic zarzucić nie można; ulega ono woli mocarstw, chociaż naród całą duszą jest oddany Kreteńczykom. Czy długo tak potrwa? — sam nie wiem, ale zapytuję, czy tak może trwać długo? W każdym razie Grecy liczą na sprawiedliwość Europy“.

Korespondencye.

Warszawa, 29 czerwca.

(*Azet*) Dużo się u nas i u was w ostatnich czasach mówiło i pisało o bezpośredniem połączeniu koleją żelazną Warszawy ze Lwowem. Ze strony rządu austryackiego zrobiono już, jak wiadomo wszystko, bo linię kolejową pociągnięto wprost ze Lwowa do Bełżca, a więc do samej granicy z Kongresówką. Idzie więc tylko o to, aby na niewielkiej stosunkowo przestrzeni wybudowana została po stronie Kongresówki kolej z Tomaszowa do granicy rosyjskiej, a wtedy podróż z Warszawy do Lwowa trwać będzie godzin dwanaście, gdy dziś na Kraków wynosi co najmniej dwadzieścia cztery godzin i jest dwa razy droższa, jakby była na Tomaszów. Otóż dowiaduję się, że tutejszy zarząd kolei skarbowych, pod którego administracyę za rok przejdą już wszystkie koleje prawego brzegu Wisły w guberniach Kongresówki, z największą pewnością weźmie się przedewszystkiem do budowy odnogi kolejowej od linii nadwiślańskiej do granicy galicyjskiej. Jest jeszcze zarządzonem na rok przyszły rozpoczęcie budowy w pobliżu granicy galicyjskiej, mianowicie z Ostrowa, stacyi krańcowej kolei dąbrowskiej, aż do Tomaszowa pogranicznego. Zarząd kolei skarbowych w Królestwie polskiem ma przeznaczone co rok dziesięć milionów rubli na cele budowania kolei podjazdowych i odnóg łączących główniejsze arterye kolejowe i właśnie połączenie nadwiślańskiej kolei z galicyjską granicą, a więc z linią, rozpoczynającą się w Bełżcu, stoi na pierwszym planie i z największą pewnością w roku przyszłym budowa rozpoczętą zostanie. Do szybkiej decyzyi w tej sprawie przyczyniła się podobno opinia ministerstwa wojny, która tę odnogę kolei uważa za strategiczną.

W sprawie katastrofy pociągu pod Brześciem litewskim śledztwo jest ukończone. Ogólne szkody oceniono na 60 000 rs., stosunkowo więc szkoda niewielka, ale wielu pasażerów wystąpiło z akcyą sądową o odszkodowanie i to znacznie powiększy cyfrę szkody.

Tak np. rodzina zabitego obywatela z gubernii mińskiej, ś. p. Bogdaszewskiego, występuje z pretensyą 100.000 rs., rodzina po Hirszmanie o 60 tysięcy. Łączne pretensye innych poszwankowanych pasażerów wynoszą bardzo poważną cyfrę.

Istnieje u nas zakład poprawczo-naukowy w Mokotowie pod Warszawą, który się nazywa Instytutem moralnie zaniedbanych dzieci, a do którego przyjmowani są chłopcy bez uprzednich wyroków sądowych. Zakład ten w całej Polsce jest niezmiernie popularny i bez przesady można powiedzieć, że otoczony jest szczególną pieczołowitością i ofiarnością ogółu polskiego. Jeśli się tak wyrazić wolno, myślą o nim wszyscy i każdy. Co prawda, ze smutkiem należy wyznać, że ilość kandydatów coraz powiększa się, a wskutek tego i potrzeby zakładu rosną. Hojnych dobrodziejów nie brak, ale też i pomysły znajdują się zawsze wśród tych, którzy gotowizny dać nie mogą na ofiarę. Oryginalny tedy i głęboko humanitarny wyrodził się tu projekt, aby fundusze Instytutu moralnie zaniedbanych dzieci powiększyć, mianowicie urządzają przy instytucie filię dla krnąbrnych, rozpustnych, słowem z różnymi nałogami chłopców, których rodzice są zamożni, a nie mają sposobu zająć się odpowiedniem wychowaniem, które wymaga pedagogicznych dróg, aby takie dzieci poprawić, złe z nich wykorzenić i oddać jako dobrych ludzi rodzicom, a więc społeczeństwu. Opłaty z tej filii płynące będą niezawodnie znaczne, a te w znacznej części posłużą na zwiększenie funduszów głównego Instytutu, w którym znajdują się dzieci nieznanych rodziców, lub zupełnie ubogich.

W sprawach teatralnych, i to nie ogródkowych, lecz dotyczących rządowych teatrów naszych, zanosi się na ważne zmiany i reformy. P. Władysław Szymanowski, dotychczasowy reżyser dramatu i komedyi, który właściwie jest kierownikiem tej najpryncypalniejszej gałęzi w teatrze, w najbliższym czasie ustępuje ze swego stanowiska. Tutejsze dziennikarstwo i w ogóle opinia, co prawda, nie otaczały zbytnią sympatyą p. Szymanowskiego, a w ostatnich czasach krytyka tutejsza z p. Kazimierzem Zalewskim na czele, w sposób surowy i niedwuznaczny, poczęła występować przeciw złej artystycznej i literackiej gospodarce reżysera. Obecny prezes, p. Andrejew, z początku mało się zajmował dramatem i komedyą i dopiero teraz zaczął wglądać we wszystko i informować się z pierwszej ręki. Ponieważ znał słabo język polski, zabrał się do uczenia go, co mu naturalnie łatwo przychodziło, jako człowiekowi już wykształconemu, przy pomocy dzielnego nauczyciela nowo mianowanego bibliotekarza ordynacyi hr. Zamoyskich, p. Krola, którego sobie przybrał za profesora i lektora. Reżyseryę dramatu i komedyi obejmuje tedy w najbliższym czasie p. Bolesław Ładnowski, z czego nietylko tutejsze dziennikarstwo, lecz szeroka opinia, zajmująca się serdecznie sprawami teatralnemi, jest niezmiernie zadowolniona, bo pan Ładnowski jest nietylko znakomitym artystą, — lecz prawym i zacnym człowiekiem, a to u nas, chwała Bogu, bardzo wiele jeszcze znaczy.

Londyn 25 czerwca

(T.) Wycofanie przez rząd projektu nowej organizacyi szkółek elementarnych — prawdziwe bankructwo dla niego, jako rządu — będzie miało pomiędzy swemi następstwami pośredniemi także i utrudnienie bytu szkółek katolickich. Jak wiadomo, celem rządu było zadać cios organizacyi szkolnej istniejącej od 1870 r. i oddającej dyrekcyę szkółek władzom świeckim. Chciał przywrócić nad nimi zwierzchnictwo Kościoła anglikańskiego. Tego rodzaju otwarta propozycya byłaby wywołała oburzenie; ażeby zatem istotne swe zamiary zamaskować, w projekcie swym rząd przypuścił do współudziału w zapomodze skarbowej protestanckich sekciarzy i katolików. Ci ostatni, o których nam tu chodzi, nie łudzili się — albo jeżeli się łudzili, to nie trwało to długo — co do istotnych zamiarów rządu, lecz jako obywatele kraju wiedzieli, iż mają takie samo prawo do zapomogi skarbowej jak innowiercy. Szkółki elementarne katolickie utrzymywane są wyłącznie kosztem Kościoła i parafian: ciężar jest dotkliwy i oddalenie epoki reformy pod tym względem do roku przyszłego — a może do kalend greckich — nie jest wcale pożądane.

A nie podrzędna to kwestya już dzisiaj w Anglii, gdyż i liczebnie i moralnym swym wpływem katolicyzm wzrasta na siłach. Stanowisko społeczeństwa zmienia się także względem niego, i nie ma już, w Londynie przynajmniej, śladów owej nienawiści i zaciętości, z którą dawniej był ścigany. Mieliśmy sposobność stwierdzić to tutaj już kilkakrotnie, a przedewszystkiem gdyśmy opisywali wspaniałą ceremonię położenia węgielnego kamienia katolickiej katedry w Westminsterze. Czytelnicy dowiedzą się z zadowoleniem, że roboty idą bez przerwy i chociaż ze względu na ogrom przedsięwzięcia nie można oznaczyć czasu ich ukończenia, jest już rzeczą znaczącą, że ani na chwilę nie zabrakło potrzebnych funduszów do budowy.

Chociaż pobieżnie wypada wspomnieć, że dają się już obecnie widzieć na ulicach procesye katolickie. Wielkie wrażenie wywołała procesya urządzona przed kilku tygodniami w Peckham, miasteczku, które już pochłonięte zostało przez Londyn. Procesya ta, poprzedzona wielkim krucyfixem, z posągami N. Panny, śgo Józefa i ś. Franciszka patrona klasztoru Ojców Kapucynów, szła od kaplicy Sióstr Miłosierdzia do tego klasztoru przez całe miasto. Kilkaset dziewcząt w bieli, kongregacye i konfraternie ze swemi chorągwiami kroczyły zwolna i uroczyście przy śpiewach, światłach i licznym udziale publiczności. Wspaniałość tej procesyi wywarła wielkie wrażenie wśród okolicznej ludności i jak się dowiadujemy, wywołała liczne manifestacye sympatyi dla katolicyzmu. Dziwić się mogą czytelnicy kraju, w którym Kościół swobodnie i publicznie ceremonie swe odprawia, że o procesyi tej piszemy jak o wypadku. Ale nie trzeba zapominać, że krzyk złowieszczy „No Popery!“, rozlegał się w Anglii przed dwoma jeszcze dziesiątkami lat i że tolerancya religijna była w tym kraju swobód politycznych rzeczą nieznaną. Pierwszą wielką manifestacyą publiczną, gdzie sympatye dla katolicyzmu się ujawniły, był niezapomniany pogrzeb kardynała Manninga, w którym uczestniczyło prawdopodobnie 300.000 mieszkańców Londynu. Nie może się naturalnie z nim porównać procesya w Peckam, ale jest już wielkim krokiem naprzód, że ludność protestancka tutejsza przywyka do ceremonii katolickich i toleruje je: jest to nowy szczebel na drabinie wiodącej ku jedności Kościoła.

Nie trzeba także pominąć milczeniem listu otwartego Gladstona do arcybiskupa anglikańskiego Yorku w przedmiocie uznania przez Stolicę Apostolską anglikańskiego kapłaństwa i angielskich klasztorów. Sędziwy mąż stanu, który ongi w epoce Papieża Piusa IX go był otwartym przeciwnikiem Rzymu, obecnie wszedł-

---

3)

NOTATKI Z WILNA

spisane dla „Dziennika Poznańskiego“

przez

Antoniego Karpińskiego.

(Ciąg dalszy).

Lecz wróćmy do rzeczy. Przez sklepioną bramę wchodzimy w drugi, równie wielki dziedziniec, gdzie stoi po prawej stronie obserwatoryum astronomiczne, dzisiaj — jak się samo przez się rozumie — skasowane.

Obserwatoryum znajduje się z zewnątrz w tym samym stanie, w jaki wprowadził je profesor astronomii Poczobut. Wieża poważna i gustowna, a na niej wiersz Wirgiliusza: „*Addidit antiqua virtus nova lumina coelo*“. Tutaj Poczobut przyjmował koronowane głowy, zwiedzające uniwersytet: Stanisława Augusta, Pawła I, Aleksandra I. Cesarz Paweł, wchodząc do wspaniałej sali obserwatoryum w roku 1796, podobno zawołał do Poczobuta: „Quel salon, quel salon!“

Uniwersytet był olbrzymim gmachem, zajmującym cały quartier. W murach jego się znajduje dzisiaj muzeum starożytności, założone w roku 1859 przez hr. Eustachego Tyszkiewicza. Wejście do muzeum jest z zupełnie innej ulicy i obchodząc daleko kilku ulicami jesteśmy wreszcie znowu w murach dawnego uniwersytetu, w wielkiej sali parterowej. Tutaj pod szkłem mnóstwo biblii, rękopisów, starych książek. Jest i kilka polskich. Czytamy karty tytułów przez szklanne wieka szuflad: „Wzywanie do jedności katolickiej narodu ruskiego religii greckiej z Kościołem rzymskim. Kraków 1629“; albo dalej: „Sobór kijowski schizmaticki roku 1641, przez ojca Piotra Mohile złożony, w którym aż wielkie absurda y przeciwności wierze świętej katolickiej się znajdują“.

Książek takich polskich z podobnemi tytułami jest tylko kilkanaście, zresztą całe mnóstwo starych książek łacińskich i rosyjskich, ułożonych w wielkim porządku w okrąg sali w szklanych leżących szafach, na których postawiono w stosownych odległościach biusty poetów rosyjskich: Lermontowa, Puszkina, Żukowskiego i innych. Nad polskiemi książkami stoi biust Suwarowa, poety *minorum gentium*. Czemu właśnie poetę tego nazwiska wstawili w bezpośrednie sąsiedztwo polskich książek? Czy żeby przypominał rzeź Pragi przez feldmarszałka tegoż nazwiska?

Woźny, mówiący naturalnie tylko po rosyjsku, prowadzi nas dalej po wspaniałych schodach do górnych sal, w których znowu uderza nadzwyczajny ład i porządek.

Zbiory zresztą zwyczajne, jak we wszystkich muzeach: wypchane ptaki, mumie egipskie, pieczęcie, monety, ząb mamuta, żubr wypchany i kilka autografów. Zainteresował nas jeden, t. j. oryginalny dokument Zygmunta Augusta z r. 1571 w języku białoruskim, uwalniający księży słonimskich od wszelkich powinności państwowych. Zresztą nic polskiego. Nad tem wszystkiem portrety osób zasłużonych około dobra Litwy, widzimy opasłą zwierzęcą twarz Murawiewa, dwa portrety Siemaszki, jeden przed połączeniem z prawosławiem, a drugi po złączeniu. Jest także obraz rozległych rozmiarów, przedstawiający popa, poświęcającego szablę jakiemuś kniaziowi ruskiemu, udającemu się na Tatarów. Tak objaśnia woźny. U dołu obrazu rosyjski podpis malarza: „Bakałowicz“, którego dotychczas uważaliśmy za polskiego malarza. Rzeczy wartość naukową mających, o ile ocenić umiemy, nie ma; wszystko, co przypominało Polskę i co z trudem uczeni nasi przez półtrzecia wieku istnienia uniwersytetu wileńskiego nagromadzili, wywieziono. Jedne rzeczy poszły do uniwersytetu kijowskiego, drugie do Gatczyny do pałacu carskiego, inne do Kremla, a pełno prawdziwych skarbów dla nauki i wiedzy butwieje i gnije na poddaszu jakiego ministerstwa „poczt, telegrafów i obcych wyznań“ w Petersburgu. Ta sala muzealna pierwszego piętra, to aula uniwersytecka. Tutaj odbywały się uroczystości uniwersyteckie; profesorowie siedzieli ubrani w tog. purpurowe, przed rektorem leżało berło srebrne, przez Batorego niegdyś uniwersytetowi ofiarowane.

Czyżby to wszystko bezpowrotnie minąć miało?

26 maja 1896.

Dzień koronacyi. Wszędzie tylko lampki, chorągwie i transparenta, przygotowane do wieczornej iluminacyi. Nawet na kościele ostrobramskim wysilają się jacyś poczciwi ludziska, aby ustawić monogramy Mikołaja Aleksandrowicza i Niemki darmstadzkiej, przechrzczonej na Maryę Teodorównę. Aby uczcić godnie dzień, postanowiliśmy zaraz z rana obejrzeć kościoły już nieistniejące. Jest to urzędowa nazwa kościołów katolickich, przerobionych na cerkwie lub zamkniętych, czyli — jak lud tutejszy się wyraża — zaklejonych. „Przewodnik po Wilnie“ wymienia 12 takich „nieistniejących kościołów“. I tak n. p. pod numerem 8 wymieniony jest kościół św. Kaźmierza, dziś prawosławny sobór św. Mikołaja. Pomimo, że wspaniała budowla z wieżami, pomimo, że przedwczoraj dopiero zaciągali tam dzwony, pomimo, że każdy nań patrzy i widzi go, kościół ten nie istnieje. Dalej kościół pofranciszkański, jeden z najstarszych w Wilnie. Do tego kościoła każemy się zawieźć. Jest on zamknięty na kłódkę i zamek opieczętowany, szyby kościoła po części wybite i na kościele znajduje się wielki napis: „Archiw rządowy gubernii wileńskiej“.

Inny kościół nie istniejący, a mający historyczne tradycye, jest kościół Bazylianów. O kilkadziesiąt kroków od kościoła ostrobramskiego jest brama z napisem rosyjskim, oznajmiającym nam, że to seminaryum duchowne prawosławne. Wchodzi się na dziedziniec, w którego środku stoi cerkiew św. Trójcy. W koło dziedzińca ciągną się zabudowania dawnego klasztoru Bazylianów, zamienionego za rządów Nowosilcowa na więzienie. Patrzymy, gdzie mogła być cela Konrada.

Wiecie co, pójdźmy lepiej do celi Konrada
Najdalsza jest, przytyka do muru kościoła;
Nie słychać stamtąd, choć kto śpiewa albo woła.
Myślę dziś głośno gadać i chcę śpiewać wiele,
W mieście pomyślą, że to śpiewają w kościele.

A więc narożne okno była cela Konrada i tutaj odbywała się scena pierwsza trzeciej części „Dziadów“. Cela ta przytyka do kaplicy ostrobramskiej. Patrzymy na inne okna, to wszystko cele filaretów, zamykanych w tych murach przez Nowosilcowa.

Czas spieszyć na umówioną na godzinę trzecią wycieczkę z kilku znajomymi Wileńczykami. Dążymy znowu ową ulicą krętą i nie zbyt szeroką nazywającą się „Wielką“, bo będącą główną arteryą ruchu, lecz że do celu jeszcze daleko, siadamy do dorożki na małym placu obok cerkwi św. Praksedy, naprzeciwko hotelu warszawskiego. Mamy już ruszać, gdy kilku żandarmów galopuje środkiem ulicy i oczyszcza ją z żydostwa, które całą ulicę zajęło i wstrzymuje ruch powozów. Za żandarmami pokazuje się piechota, ustawiająca się wzdłuż ulicy i tworząca szpaler. Jeden oddział z bronią i z zatkniętym bagnetem, inni bez broni, jedni odświeżeni w świecących mundurach, inni zakurzeni świeżo z marszu widocznie wrócili. Wojsko ustawiwszy się wznosi w odstępach kilkunasto-minutowych okrzyki, lecz programu uroczystości koronacyjnej nie umiemy pochwycić. Raz okrzyk powtórzą ośm razy, potem cztery, potem pięć, wreszcie siedm itd. Tymczasem żydostwo prze na dorożkę, nasz punkt obserwacyjny.

Porządnego człowieka oprócz waszego referenta i jego dwóch towarzyszy nie zobaczysz, więc wdajemy się w rozmowę z żydkami, którzy chętnie dają objaśnienia, widocznie podług najlepszej wiedzy. Jeden twierdzi, że okrzyk wojska oznacza nadejście depeszy z Moskwy, zwiastującej, że car usiadł na tronie, inny że car w tej chwili dał sobie sam komunię, inny ostatecznie zapewnia, że car pije zdrowie ludu. Piechota wreszcie wcale nie w paradowym szyku, lecz jak ruchawka na prędce zebrana, ustępuje i myślimy, że będzie można wreszcie ruszyć, lecz naraz pokazuje się artylerya i ta długim i dalekim szeregiem zaczyna przejazd przez ulicę. Na ramionach żołnierzy widzimy, że to pułk dwudziesty siódmy. Konie i rzemienie dobrze utrzymane, ale to też wszystko. Ładu i porządku najmniejszego i jakiegoś programu uroczystości ani źdźbła. Cała kalwakata co moment staje, oficerowie galopują to w tył, to naprzód, wydają głośno w powietrze rozkazy, których skutku nie widać ni znać; skoro baterye mają wreszcie ruszyć, tłumy żydostwa przedzierają się z jednej strony na drugą pomiędzy armatami i wstrzymują znowu pochód na kilka minut. Sceny te powtarzają się co chwila, tak, że pochód trwa przynajmniej godzinę. Z świetnego naszego punktu obserwacyjnego nie spuszczamy oka z cerkwi, w której odbywa się nabożeństwo. Obok cerkwi w cieniu jej (słońce pali strasznie) stoi sześciu cerkiewnych śpiewaków, ubranych w żółte odświętne ornaty z czarnemi szerokiemi obwódkami. Widać, że na chwilę cerkiew opuścili; każdy trzyma w dwóch rękach olbrzymią bułę i wżera się w nią. Naraz na dany jakiś znak niedojedzone buły toną pod ornatem i śpiewacy galopem, jeden wyprzedzając drugiego, wlatują do cerkwi. Tymczasem dwudziesty siódmy pułk jeszcze nie przeszedł i ciągnie się i staje bez końca. Ma to być parada artyleryi w dzień koronacyi. Lecz czemu ta „revue“ odbywa się na wązkiej ulicy, nie wiadomo. W wojsku rosyjskiem takie przechody wojska po wązkich ulicach są bardzo częste i mają na celu: „nawiesti strach na graždan“, t. j. napędzić strachu mieszczanom.

(Dokończenie nastąpi).

szy już za życia do nieśmiertelności i pod wpływem niejako pozagrobowego światła, zmienił swe zapatrywanie dawniejsze. Nie tylko nie przeszedł on na łono katolicyzmu, ale jest tak samo, jak dawniej, w ścisłym duchowym związku z Kościołem państwowym. Nie przeszkadza mu to jednak korzyć się przed majestatem Leona XIII i prosić go o okazanie ojcowskiego miłosierdzia anglikanizmowi. Nie ma potrzeby roztrząsać tutaj pytania, czy owo uznanie Apostolskiej spuścizny, za którem przemawia Gladstone, przyczyni się do zbliżenia anglikanizmu do Kościoła, czy też przeciwnie, ugruntuje schyzmę. W sprawie takiej doniosłości Stolica Apostolska sama jedna zawyrokuje i jak *Voce della Verità* domyślać się pozwala, zawyrokuje niezadługo. Ale gdy się jedynie stoi na stanowisku angielskiem i rozbiera jego stosunek do katolicyzmu, to najpowierzchowniejszy spostrzegacz musi przyznać, że się sytuacya dawniejsza radykalnie zmieniła i że wypadki idą szybciej, aniżeli najgorliwsi przypuszczać nawet mogli przed paru dziesiątkami lat.

Umarł sir Augustus Harris, dyrektor włoskiej Opery w Covent Garden, dyrektor największego i najstarszego teatru Drury Lane, słynnego ze swych dramatów i tragedyi, oraz właściciel kilku innych teatrów. Była to najwybitniejsza osobistość całego teatralnego świata londyńskiego. Człowiek niesłychanie przedsiębiorczy, ruchliwy, zaczął swój zawód bez grosza a zrobił wielki majątek, szczodrobliwie sypiąc pieniądzmi na prawo i lewo. Brał w ręce sceny zrujnowane, zdepopularyzowane i umiał tchnąć w nie żywotność, otoczyć je blaskiem. Działalność jego dla sceny Drury Lane okazała się wielce płodną. Co rok przy pomocy tego lub owego pisarza, Harris pisał wielki melodramat, wielką machinę o scenach patetycznych, patryotycznych, o intermezzach komicznych, dających pole do wielkiej, malowniczej wystawy, dekoracyi i maszyneryi. Bez istotnej piśmienniczej wartości, sztuki te były zawsze zajmujące i zwabiały tłumy. Ale niczem to było w porównaniu do świątecznych pantomin, czyli czarodziejskich sztuk, które tam przez resztę roku przedstawiał. Były to jedyne w świecie widowiska: sypał na nie miliony, ale powracały mu się z naddatkiem. Niepodobna wyobrazić sobie bieglejszego od niego dyrektora teatru.

A oprócz tego był dyrektorem wielkiej Opery. Znikała włoska opera z jednej europejskiej sceny po drugiej, i w Londynie także chyliła się do upadku, gdy on ją zgalwanizował. Uczynił dwie rzeczy: naprzód zaangażował najpierwszych artystów jakich świat artystyczny posiadał, powtóre wprowadził na scenę Covent Garden międzynarodowy eklektyzm. Nie zamykał się w przestarzałej, płytkiej szkole włoskiej Belliniego, Donizettiego i Rosiniego oraz Verdiego dawniejszej maniery, ale obok nich przedstawiał naprzód wielkich mistrzów szkoły francuskiej, a następnie Wagnera. Dzięki wpływowi Reszków śpiewano na scenie Covent Garden włoskie, francuskie i niemieckie opery, każdą w jej własnym języku. Publiczność oceniła wielkie staranie p. Harrisa około podniesienia Opery, dała mu materyalne poparcie i jako rezultat mieliśmy, że scena Covent Garden stała się pierwszą na świecie.

Rząd chcąc uznać jego zasługi oddane dramatycznej sztuce, nadał mu, gdy był szeryfem Londynu i urządził niezrównanej wspaniałości przedstawienie w Operze dla cesarstwa niemieckich, tytuł szlachecki. Sir Augustus był wielce popularnym w całym artystycznym świecie i u całej publiczności. Śmierć jego w 44 roku życia wywołała żal powszechny.

Chicago 10 czerwca.

(N.—n) Zapewne mało komu wiadomo w „starym kraju“, że w Stanach Zjednoczonych Ameryki znajduje się około 200.000 Litwinów. I to nie takich Litwinów, jak ci, których mamy z „Pana Tadeusza“, lecz mówiących tylko po litewsku, uważających się za odrębny naród i dążących do zdobycia sobie tej odrębności politycznej. Z nami Polakami łączy ich jedynie religia katolicka. Litwini w Ameryce, są to emigranci z pod zaboru rosyjskiego, ale większa ich część przypłynęła z Prus, gdzie jak wiadomo, w prowincyach wschodnich całą przestrzeń nadgraniczną z Rosyą zamieszkują Litwini. W „starym kraju“ nie dzielą się oni na stronnictwa, ale u nas tu w Ameryce rozpadają się na katolików, liberałów, przyjaciół Polski, na narodowców, na socyalistów i anarchistów. Istnieje także wśród amerykańskich Litwinów stronnictwo przyjaciół Rosyi, ale jest ono tak drobne, że w rachubę nie może być brane — natomiast gdy polskich socyalistów mamy bardzo mało w Ameryce, a anarchistów możnaby policzyć na palcach, to przynajmniej dziesiąta część Litwinów w Ameryce sprzyja socyalizmowi, — a anarchizm ma także wśród inteligencyi litewskiej dość licznych zwolenników.

Tutejsze gazety angielskie i niemieckie, coraz częściej donoszą, że przewódzcy Litwinów przemawiają na publicznych zebraniach, wygłaszają anarchistyczne zasady i pracują usilnie dla krwawej bandy anarchistów. Księża litewscy, aczkolwiek dobrzy katolicy, nie mają takiego wpływu na swoich rodaków w Ameryce, jak nasze duchowieństwo polskie i tem się objaśnia rozprzężenie w stosunkach społecznych tutejszych Litwinów. Kilka pism, wychodzących w litewskim języku, redagowanych po większej części przez awanturników, przyczynia się niemało do niezgody wśród tutejszych Litwinów. Każde takie pismo przedstawia inne stronnictwo i zasadza swoją gorliwość na tem, aby drugich szkalować i obrzucać błotem.

Szkalowanie i obdzieranie z dobrej sławy drugich jest u nas w Ameryce na porządku dziennym, ale też sądy tutejsze wcale nie żartują z takimi oszczercami. Wzięto się i do pism polskich, które od niedawna poczęły wstępować na tę niepiękną drogę. W tych dniach n. p. najwyższy sąd w Buffalo skazał wydawcę codziennej gazety, wychodzącej tamże p. t. *Polak w Ameryce*, na zapłacenie 6250 dolarów doktorowi Krugowi za oszczerstwo, rzucone na niego w tem piśmie, dołączając do tego jeszcze koszta procesu, które są bardzo znaczne. Tym sposobem wydawcę *Polaka w Ameryce* te kilkanaście czy kilkadziesiąt wierszy, w których sąd dopatrzył się oszczerstwa, kosztować będą na wasze pieniądze około 20.000 zł., doliczając do tego koszta procesu. Dodać winienem, że wyrok jest już ostateczny, zapadł w apelacyi i nie ma od niego odwołania. Pierwsze to pismo polskie w Ameryce, tak surowo ukarane w sądzie apelacyjnym. Poprzednie procesa o oszczerstwa, wytaczane polskim dziennikom, były drobne i kończyły się w niższych instancyach.

Co do dziennikarstwa polskiego w Ameryce, to ze sztucznego wzrostu coraz więcej usycha gałęzi. W ostatnich czasach dużo pism polskich przestało tu wychodzić z braku funduszów i z braku prenumeratorów, a w ostatnich dniach pożegnała się z tym światem *Polonia* w Baltimore, co prawda, pismo uczciwe i katolickie, — i znikła anarchistyczna *Jutrzenka*, tygodnik szkodliwy i skandaliczny.

Niejednokrotnie już wspominałem, że tutejsze firmy, trudniące się kolonizowaniem emigrantów, dopuszczają się na naszych rodakach wielkich nadużyć. Tak n. p. wielce poważny nowoyorski dziennik „*World*“, opisuje sprawę niejakiego Józefa Percaka, inteligentnego emigranta z Galicyi, którego firma Missler and Krimmert ponętnymi opisami kolonii, nazwanej „Missler“ tak oszukała, że Percak z całem swem rodzeństwem, przyprowadzony został do nędzy. Oszustwo wykonane na tych biednych ludziach, było tak uderzające, że zajęto się nimi w New Yorku, a firmie oszukańczej wytoczono proces, który z pewnością przegrają.

Niemal we wszystkich tutejszych amerykańskich dziennikach zamieszczane są lamentujące artykuły o depresyi, jaka panuje w amerykańskim przemyśle i handlu — przygnębiająca to okoliczność tembardziej, że polepszenia stosunków nie można się tak rychło spodziewać. W ciągu jednego z ostatnich tygodni w Stanach Zjednoczonych zbankrutowało 236 najrozmaitszych firm.

Z salonu sztuki.

W drugiem oknie trzeciego pokoju naszej wystawy przy placu św. Ducha wisi niewielki obrazek Iwasiuka, przedstawiający zachód, późny zachód słońca. Pomimo, że obrazek ten znajduje się tam już od blisko pół roku, nie było o nim w sprawozdaniach z salonu sztuki dotychczas żadnej wzmianki. A przecież nie godziło się przechodzić nad nim do porządku dziennego, bo obrazek przykuwa do siebie oczy tem mocniej, im dłużej się weń wpatrywać. Na pierwszy rzut oka uderza widza orgia kolorów, której pozorny chaos nie dozwala odszukiwać szczegółów. Jakieś fiolety i seledyny wyskakują z po za ciemnych, czarnych prawie plam. Dopiero po dłuższem wpatrywaniu się widać po lewej stronie grupę wysokich haszczów, a dalej ku prawej ręce aż do ramy obrazu ciemny, zarosły horyzont, przerznięty dość szeroką drużyną. Ale główną siłą obrazu jest niebo. Ciemno fioletowe chmury przerywają się tu i ówdzie w długie szpary, wypuszczając z za siebie gorące, żółte plamy zachodzącego słońca. Przerwy te w chmurach to jakby bramy otwarte do jakiegoś innego świata, pełnego dziwów nadzwyczajnych i tajemnic, których myśl ludzka domyśla się zaledwie. A pod tem wszystkiem czarna, smutna ziemia, szarzająca zaledwie tu i ówdzie słabem, pożyczonem światłem tego gwaru barw, który się nad nią unosi. Wszystko to zaś niebo i ziemia, chmury i haszcze, blaski i cienie łączy się pomimo skontrastowania w dziwnie harmonijną całość. Artysta, malując swój obraz, czuł się częścią odtwarzanej przez siebie przyrody i rozumiał pochodzenie wszystkiego, co malował, od jednego wspólnego pierwiastka.

W tym samym pokoju wiszą, jeden nad drugim, dwa pejzaże Dąbrowskiego „Świt i Wieczór.“ Kto przed obrazy te przystępuje z zamiarem szukania w nich dokładnego, realistycznego odtworzenia szczegółów, ten odejdzie bez wzruszenia, bez tych drgnień swojej duszy, które są bezinteresownym oddźwiękiem każdego piękna. Każdy jednak nieuprzedzony zwróci bezwiednie uwagę na intencyę autora tych obrazów i pójdzie śladem jego, by widzieć to, co samego twórcę najpierw uderzyło. Celem tych obrazów nie jest prawda, ta prawda powierzchowna, o której się mówi, że można ją spostrzedz samymi tylko zmysłami. Ta powierzchowna prawda traktowaną jest powierzchownie, może nawet nieumiejętnie. Na „Poranku“ śnieg przypomina trochę kupki waty a drzewa wieczoru są jakby naiwnie stylizowane, ale szczegóły te wydają mi się rzeczą uboczną wobec właściwej treści obrazów. Mniejsza nawet o to, czy niedokładność ta jest wynikiem świadomości, czy nieświadomości; to mogłoby stanowić o samym autorze. Dziełu samemu nie szkodzi to, owszem przyczynia się nawet do uwydatnienia tego, co jest w obrazach ważniejszem, a tem ważniejszem jest nastrój.

W „poranku“ zimowym widać w różowym ciepłym kolorze przesycającym sobą powietrze i różowiącym nierówną płaszczyznę śniegu, ten blady uśmiech wstającego ze snu, zimowego słońca, którego wejście, nie pobudza do gwaru bujnej letniej lub wiosennej przyrody. Jest to tylko otwarcie oczu bez ruchu i tylko na krótką chwilę. To też i życie dostrojone jest do samego tętna natury. Na drodze leśnej widać wysmukłą postać sarny czy jelenia, — samotną i cichą, jak ten zimowy poranek.

„Wieczór“ zimowy przypominający kolorytem górnej swej części „Nocturn“ Podkowińskiego jest świetnym pod względem wykonania dalszych planów. Na niebie dwie czy trzy smugi zielonawego blasku odciętego ostro od tła chmur prawie czarnych. Na ziemi gąszcz, przez który to światło przegląda, a wszystko drga i migoce w niepewnym mroku późnego wieczoru, tak, że konturów nie podobna rozróżnić. Tak jak tam tak i tu ma życie swojego reprezentanta, tylko, że on tutaj dostroić się musiał do ponurości ogólnego tonu. Z czarnej głębi lasu wynurza się duża potworna postać łosia idącego wyrębem leśnym wprost na widza, a z nozdrzy jego wychodzi kłębami gorąca para oddechu.

Z obydwu obrazów wieje ogromny chłód, a na „wieczorze“ zdaje się przybierać postać fizycznego wiatru unoszącego z sobą drobny pył śniegowy, i symbolizuje jakieś tchnienie kosmiczne, którego uwydatnienie więcej autorowi leżało na sercu niż drobiazgowe wykończenie szczegółów. Artysta sięgnął wzrokiem poza zasłonę prawdy zewnętrznej i wydobył stamtąd to, co obrazom jego dało głębsze życie wewnętrzne.

Dziwną organizacyą artystyczną jest p. Tadeusz Popiel. Przed kilku laty miałem sposobność oglądać jego pejsaże. Były to dobrze malowane widoki, noszące na sobie wyraźne cechy studyów akademickich. Dwa lata temu wystawił p. Popiel w salonie naszym kilka pejzaży malowanych znowu dobrze ale odmiennych zupełnie od prac jego poprzednich. Były to plenairy przypominające zupełnie kreacye tego rodzaju słynnego panoramisty Ludwika Bollera. Przed kilku tygodniami widzieliśmy na wystawie jego krajobraz tatrzański p. t. „Czerwone wirchy“ a obecnie wisi w pierwszym pokoju pejzaż, przedstawiający na pierwszym planie łąkę zalaną żółto zielonem światłem, na niej kopice siana a w tyle górę opadającą ku lewej stronie obrazu. Oba te obrazy znowu różnią się ogólnym tonem od poprzednich utworów p. Popiela choć noszą na sobie wyraźnie znamiona wspólnego pochodzenia od jednego autora. Podobno odbywał p. Popiel niedawno podróż artystyczną do Włoch i obydwa te obrazy powstały po ukończeniu tej podróży. W każdym razie są one dowodem jakiejś nowej fazy w artystycznym rozwoju ich twórcy, tak samo jak poprzednie były dowodami wpływu Bollera a pierwsze studyów akademickich.

Przemiany tak radykalne w rozwoju twórczości świadczą wprawdzie o pracowitości i dążeniu do wydoskonalenia autora. Świadczy też o tem i wspólne wszystkim dobre malowanie, ale jest w tem i haczyk. Oto czy malarz, który tyle razy, tak radykalnie zmieniał swą skórę artystyczną i to pod wpływem czynników zawsze zewnętrznych, posiada talent który się opiera na wybitnej indywidualności artysty. Nie mówię, żeby się zasklepiać w jakimś raz urobionym szablonie, bo to się nazywa manierą. Owszem wszyscy wielcy twórcy przechodzili przemiany, które zaznaczyły się dobitnie w ich dziełach, ale źródło tych zmian tkwiło w nich samych. P. Popiel zaś jest zawsze pod wpływem, zawsze maluje tak jak ktoś. Czułość ta i wrażliwość na piękno artystyczne, posunięta aż do przeszczepiania cudzych środków twórczości na własną glebę, nie jest dowodem samoistności artysty. Tak się zmieniać, jak p. Popiel, jest to być co chwila wyznawcą innej szkoły — uczniem. Zamało w tem subjektywizmu a zawiele usiłowania objęcia najdrobniejszych środków twórczości. Przy tem czuć się daje u p. Popiela brak krytycyzmu. Opanowując jakąś modłę, opanowuje p. Popiel zarówno zalety jej jak i braki. W ostatniej naprzykład przemianie przybyło pejzażom dużo światła w tych wielkich i małych plamkach zielonkowatych, brak jednak tej głębi powietrza, którą odznaczały się obrazy z epoki bollerowskiej. W wystawionym obecnie obrazie, jest perspektywa rysunku i barw, brak jednak czegoś, co łączy i przesyca sobą to wszystko, co obraz czyni nie pustym i harmonizuje jego szczegóły.

Jednym z takich dobrze malujących jest Kochanowski. Obraz jego wystawiony obecnie w drugim pokoju naszego salonu sztuki, przedstawia wieczór. Nad jasno szarem bagienkiem wschodzi na jasno-szarem niebie bladożółty księżyc, którego blask ginie jeszcze w świetle słonecznem. Po lewej stronie obrazu wzgórek porosły trawą, opada zwolna szuwarami w wodę bagienka. Na wzgórku stoi wysmukła brzoza, która zdaje się drżeć pod wpływem lekkiego wiatru. Sylweta brzózki doskonale oderznięta od tła nieba, ma w swojej samotności wiele sentymentu, a o szuwarach na pierwszym planie obrazu można powiedzieć, że są malowane znakomicie. Co przy tem obrazek odznacza, to powietrze, którego cała bezdeń roztacza się między drobiazgowo wykończonymi szczegółami terenu a niebem. Pomimo tych wszystkich zalet, brak jednak czegoś w obrazie. Wychodząc od intencyi p. Kochanowskiego, szuka się dobrze odtworzonej pory dnia. Tymczasem gdyby nie księżyc, grający w pejzażu rolę komentarza, nie możnaby odgadnąć, jaka to właściwie jest pora. Na to pytanie nie ma odpowiedzi w pejzażu, bo widać tylko dobrze malowane szczegóły, nałożone zdecydowaną barwą lokalną, brak zaś w całości kolorytu, tego, co nazywamy tonem ogólnym, a co stanowi zewnętrzny objaw wewnętrznej harmonii wszechświata.

Artystą o którym warto mówić, bo można mówić bez zastrzeżeń, jest p. Damazy Kotowski. Portret p. K. wystawiony obecnie w salonie sztuki, jest arcydziełem w tego rodzaju twórczości. Nie wiem kto jest p. K., a jednak założyłbym się, że jest nietylko podobny zewnętrznie. Artysta odtworzył w obrazie to, co tego p. K. odróżnia duchowo od innych ludzi i sprawił, że zapomina się na chwilę, że to jest obraz i ma zajmować jako obraz, a pragnie się temu p. K. jakby żywemu zajrzeć w głąb duszy przez te przymrużone oczy, aby zbadać, z kim właściwie ma się do czynienia. Tak zwany wyraz twarzy (taine'owski moment charakterystyczny) odtworzony mistrzowsko. Uderza to odrazu na pierwszy rzut oka tak, że dopiero po ochłonięciu z pierwszego wrażenia można przejść do więcej krytycznego patrzenia na obraz. Ale i pod tym względem musi nastąpić zupełne zadowolenie. Cała głowa zdaje się występować z tła, a pojedyńcze części twarzy, wklęsłości i wypukłości modelują się znakomicie. Nie ma ani jednej linii, któraby się nie tłomaczyła zupełnie. Ogromnie wiele życia dodają twarzy zielonawe refleksy na prawym policzku i prawej stronie czoła, które choć nie odsłaniają swego pochodzenia, usprawiedliwiają jednak zupełnie swoje istnienie.

W ogóle jest to portret najlepszy, jaki mogliśmy widzieć od dłuższego czasu na wystawie, a w twórczości p. Kotowskiego jest dowodem, że talent artysty znajduje coraz lepsze środki i coraz dokładniej się wypowiada.

Reszta obrazów, zajmujących ściany salonu sztuki, była już po większej części omówiona, o ile na to zasługiwała. Z nielicznych nowości nie wybija się zaś żadna po nad poziom konwencyonalnego szablonu. O dwu tylko obrazach można jeszcze coś powiedzieć, mianowicie o wiszących w sąsiedztwie: parze Hucułów Obsta i ogromnem płótnie Pełczyńskiego, przedstawiającem: górę, drogę, karczmę, wóz, konie, kury, ludzi itd. Są to obrazy, które rzucają się w oczy swojem wybitnem niedołęstwem pomysłów i dyletanckiem niemal wykonaniem. Znamiona te charakteryzują osobliwie obraz pana Pełczyńskiego, który chyba pretensyonalnością swoją usprawiedliwić może wystawienie czegoś podobnego.

Stanisław Womela.

Rada miasta Lwowa.

Lwów 2 lipca.

Wczoraj o godzinie 5 po południu zebrało się w sali ratuszowej kilkudziesięciu radnych, wśród których w nieznacznej jawili się liczbie ci, którzy do obecnej kadencyi nie otrzymali mandatu, na posiedzenie, na którego porządku dziennym był jeden tylko punkt: pożegnanie ustępującej Rady. Posiedzenie to zagaił pan prezydent Mochnacki i wygłosił następującą przemowę:

„Szanowni panowie! Z uczuciem głębokiej czci i z głębokim żalem przychodzi mi rozstać się z dawną Radą, lecz odnoszę to miłe i radosne wrażenie i zadowolenie, że niemal trzy czwarte części dawnej Rady weszło w skład nowowybranej. Snać wyborcy umieli ocenić należycie dodatnią działalność członków ustępującej Rady, skoro tak liczny zastęp ich obdarzyli ponownie swem zaufaniem i powołali do dalszego prowadzenia rządów tego miasta.

„Szanowni panowie! Doświadczyliście niejednokrotnie, że urząd radnego jest to zawód ciężki i niewdzięczny, lecz pomimo tego nie waham się zagrzewać panów do wytrwałej pracy nad rozwojem miasta, gdyż tylko ta nagroda jest prawdziwą, którą się zdobywa ciernistą drogą pod hasłem: *salus urbis suprema lex*!

„Ustępująca Rada ma niepomierne zasługi około dobra tego miasta, dość gdy wspomnę o życzliwem i ofiarnem poparciu Wystawy krajowej w r. 1894, która Lwów moralnie tak dźwignęła, że cały świat podziwiał jego rozwój. Pożyczka 10 milionów na różne inwestycye i pożyteczne cele, to także zdobycz nie mała.

„Znaczny postęp pod względem rozwoju oświaty, uporządkowania spraw dobroczynności publicznej i pod względem zdrowotnym, — to wszystko dzieła ustępującej Rady. Wreszcie spojrzyjcie panowie na miasto, ile to nowych gmachów powstało, ile nowych ulic otwarto i placów uporządkowano, ile ulic wybrukowano i plantacyi stworzono lub uporządkowano, wszystko to przeważnie zasługa ustępującej Rady.

„Zapełniliście więc panowie jedną z najpiękniejszych kart historyi w dziejach tego grodu, jak to na godnych reprezentantów stolicy kraju przystoi. Otóż z ręką na sercu możecie panowie śmiało stanąć przed wyborcami i powiedzieć: to jest owoc naszej pracy, a praca nasza, to księga otwarta; czytajcie jakeśmy miastu służyli! Cześć i dzięki wam za to zacni panowie!

„A teraz niech mi wolno będzie złożyć moje najżywsze podziękowanie towarzyszowi mojej doli i niedoli p. dr. Zdzisławowi Marchwickiemu za jego lojalne i życzliwe poparcie mego urzędowania, za jego pełną poświęcenia pracę i znakomite usługi gminie oddane: dość, gdy wspomnę o urządzeniu wystawy roku 1894, współudziale w urządzeniu kolei elektrycznej, o dzielnej pomocy przy wyjednaniu dziesięciu milionów pożyczki i t. d. Cześć i dzięki ci za to, zacny panie wiceprezydencie!

„Niemniej należy się podziękowanie pierwszemu delegatowi, p. Michalskiemu, za jego gorliwość i skuteczną działalność dla dobra tego grodu, który on kocha całem ciepłem swojego serca. Chciejcie panowie przyjąć ten wyraz mego uznania, mojej podzięki, tak życzliwie, jak ja go wam podaję.

„Ustępując z posady prezydenta, pozostawiam memu następcy dwie niemałe zdobycze: utworzenie posady stale urzędującego wiceprezydenta, uchwalone na mój wniosek, połowę ciężaru prezydenta przerzuci on na barki nowego dygnitarza, a wyjednanie dziesięciu milionów pożyczki da memu następcy możność podniesienia naszego grodu do rzędu pierwszorzędnych miast monarchii. Żegnam panów serdecznie!“

Po przemówieniu p. prezydenta, które na słuchaczach wywarło głębokie wrażenie, zabrał głos senior Rady p. Apolinary Stokowski i nawiązując do słów: *salus urbis suprema lex esto!* streścił działalność Rady miejskiej w ostatnim ćwierć wieku, podniósł jej zasługi położone około rozwoju miasta i zwracając się do nowych radnych, obejmujących rządy miasta, nawoływał ich do pracy około podniesienia miasta i mowę swą zakończył życzeniem: „Szczęść Boże!“

W końcu przemówił jeszcze p. wiceprezydent Marchwicki, podniósł zasługi pp. Mochnackiego i Michalskiego, którzy, wytknąwszy sobie za cel główny swej działalności w Radzie pracę nad rozwojem miasta, wszelkiemi siłami się starali, by najlepiej się wywiązać z wziętego na się zadania.

O godzinie 6-ej skończyło się posiedzenie, a z niem przestała istnieć dotychczasowa Rada.

KRONIKA.

Lwów 2 lipca.

Ks. nuncyusz Agliardi nie przybędzie niestety na Wiec katolicki do Lwowa, gdyż wręczył już Cesarzowi listy odwołujące go z zajmowanego w Wiedniu stanowiska i udaje się na stały pobyt do Rzymu. Ks. Agliardi zawiadomił o tem pisemnie komitet Wiecu, wyrażając równocześnie żal, że nie będzie mógł wziąć udziału w tej pięknej katolickiej uroczystości. O przyjeździe następcy ks. Agliardiego nie może być mowy, ponieważ mianowania jego można się spodziewać prawdopodobnie dopiero za kilka miesięcy. Ks kardynał Sembratowicz oczekiwany jest we Lwowie 4 bm.

Przeniesienia i mianowania. Katecheta ks. dr. Mateusz Czopor przeniesiony z Jasła do Jarosławia, ks. Fałęcki z Przemyśla do Jasła.

Profesor gimnazyalny Wincenty Frank przeniesiony z Przemyśla do gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie, prof. Eliasz Kokorudz z Stanisławowa do akademickiego gimnazyum we Lwowie, prof. Emil Kordasiewicz z Przemyśla do gimnazyum ruskiego w Kołomyi.

Nauczyciel gimn. dr. Michał Ładyżyński przeniesiony z Buczacza do Brodów, naucz. gimn. Tadeusz Lewicki ze Stanisławowa do V gimnazyum we Lwowie.

Profesor Roman Moskwa z Drohobycza przeniesiony do piątego gimnazyum we Lwowie, prof. Jan Pepöck z Brodów do Czerniowiec, prof. dr. Jan Ralski z Tarnopola do piątego gimnazyum we Lwowie, prof. Stanisław Romański ze Stryja do czwartego gimnazyum we Lwowie.

Nauczyciele gimnazyum prywatnego w Chyrowie Włodzimierz Służewski i Tadeusz Wiśniowski otrzymali posady przy gimnazyach: pierwszy w Buczaczu, drugi w Kołomyi.

Rzeczywistymi nauczycielami mianowani: Stanisław Baliński z Rzeszowa do Złoczowa, Ludwik Byliński z Rzeszowa do szkoły realnej w Stanisławowie, Franciszek Fryz z Jasła do Stryja, Feliks Gątkiewicz w Drohobyczu, Wojciech Hesse w Brodach, Juliusz Ippoldt z III gimnazyum w Krakowie do Przemyśla (gimn. polskie), Jan Jaworski z Tarnowa do Bochni, Jan Jędrzejowski z IV gimnazyum we Lwowie do Tarnowa, Bronisław Kąsinowski z gimnazyum św. Anny w Krakowie do Brodów, Jan Kreiner z Bochni do Podgórza, Włodzimierz Lewicki z gimnazyum akademickiego we Lwowie do Tarnopola, Michał Nowosielski w Przemyślu (gimnazyum polskie), Józef Petryk w Kołomyi (gimnazyum ruskie), Władysław Puchewicz z Kołomyi do Przemyśla (gimnazyum polskie), Mikołaj Sabat z Kołomyi do Stanisławowa i Andrzej Szachnowicz z Jarosławia do Stanisławowa.

Rezolucye i wnioski, które poddane będą pod głosowanie w sekcyach wiecu katolickiego, są właśnie w druku. Drukują się równocześnie w języku polskim i ruskim, bez względu, w którym z tych dwóch języków wygłosi je referent.

Wybór prezydenta miasta Lwowa odbędzie się dziś wieczorem. Akt to nader ważny dla miasta, prezydent bowiem nie tylko ma reprezentować stolicę na zewnątrz, ale przedewszystkiem czuwać nad jej wewnętrzną gospodarką, ma w swych rękach dzierżyć wszystkie sprężyny tak wielkiej maszyny administracyjnej, jaka jest Magistrat lwowski. Z doświadczenia wiemy, że jeżeli mąż energiczny, sprężysty, pełen inicyatywy i sił do pracy, stanie na czele wielkiego organizmu, to może w krótkim czasie odrodzić go zupełnie i nowe weń wlać życie. Takiego odrodzenia właśnie potrzebowałoby miasto nasze. Panują w niem bowiem pod niejednym względem niezdrowe stosunki. Gospodarka magistracka jest niemal przysłowiowo zła, dużo pieniędzy corocznie się roztrwania, we wszystkiem, co Magistrat robi, uderza brak rozumnego planu, z drugiej znów strony nie widać ani śladu jakiejś rzeczywistej kontroli wykonywanej nad Magistratem, jednem słowem autonomiczny zarząd stolicy kraju jest tego rodzaju, że na każdym kroku musimy się rumienić. Wiemy o tem dobrze, że wszystkiego złego, które z biegiem czasu się nagromadziło, w jednej chwili wyplewić nie potrafiłby nawet najgenialniejszy prezydent, a jednak mógłby on dużo, bardzo dużo naprawić, byle był dobrym gospodarzem. — Że nie jest nim dotychczasowy prezydent p. Mochnacki, o tem, zdaje się nam, nie ma dwóch zdań we Lwowie. Przekonani jesteśmy o tem, że kocha on miasto gorąco i ma najlepsze chęci, atoli jest za słabym i nie robi wrażenia dowódzcy, lecz przeciwnie w wielu razach ulega wpływom tych którym powinien umieć rozkazywać. Ponowny zatem wybór p. Mochnackiego na godność prezydenta nie wróżyłby miastu naszemu szczęśliwej ery. A jednak jest w Radzie miejskiej stronnictwo dość silne, które chciałoby ten wybór przeprowadzić. Wczoraj odbyło się próbne głosowanie, w którem p. Mochnacki, otrzymał pierwszym razem 22 a drugim razem 27 głosów, więcej cokolwiek od niego otrzymał dr. Piętak, gdyż pierwszym razem 32 a drugim 34 głosów. Wymieniają jeszcze kilku innych kandydatów. Najwięcej szans jednak, jak się zdaje, ma dr. Piętak. Czy dr. Piętak ma kwalifikacye odpowiednie na prezydenta miasta, nie wiemy, nikt przynajmniej nie miał dotychczas sposobności skonstatować tego. Gdyby dr. Piętak był stał kiedy na czele jakiejś większej administracyi, choćby n. p. fabryki lub warsztatu, prędzej możnaby wysnuć konkluzye co do tego, atoli pracował on dotychczas całe życie w zawodzie pedagogicznym, więc znamy go tylko jako profesora. Niektórzy utrzymują, że p. Piętak ma właśnie talent administracyjny, więc chyba trzeba wierzyć im na słowo. — Bądź co bądź, dziś nawet w przybliżeniu nie można sobie wyrobić pojęcia o tem, czy w razie wyboru dra Piętaka miasto zyska co na tem, czy straci.

Oprócz tych dwóch jest jeszcze jak rzekliśmy, sporo innych kandydatów, którzy czują w sobie zdolności na prezydenta. W ogóle do takiej godności nigdy kandydatów nie zabraknie, a jest tysiące zamężnych niewiast we Lwowie, z których każda święcie przekonana jest o tem, że tylko jej mąż byłby dobrym burmistrzem. Podobno nawet sprzeczają się o to od tygodnia dwie bogate siostry i podczas gdy jedna mówi: „Zobaczysz, że mój mąż będzie prezydentem“, druga zadąsana odpowiada jej: „Mylisz się siostro, mój mąż będzie, memu mężowi to się należy“. Być może, że obie doznają zawodu. Ale mniejsza o to; byleby tylko miasto dostało prezydenta, na którymby się nie zawiodło. A to tak jakoś trudno, tak bardzo trudno!

O jak największych ułatwieniach dla osób przybywających na II-gi Wiec katolicki, myśli komitet bez przerwy, i dokłada wszelkich starań, ażeby nic pod tym względem nie zostało zaniedbane. Wielkiem udogodnieniem będzie n. p. biuro kwaterunkowe, które ma urzędować na dworcu kolejowym i udzielać szczegółowych informacyi co do pomieszkań. Na placu wystawy spotkają się uczestnicy Wiecu również z wszelkimi wygodami. I tak w restauracyi, w parku stryjskim, będzie można w południe dostać obiad, co ochroni osoby biorące udział w obradach wiecowych, od przykrej pielgrzymki do miasta w najważniejszej porze dnia; — w pałacu sztuki zaś będzie przygotowane umyślne miejsce do poobiednego wypoczynku i pogadanki.

Odznaczenia. Konduktor kolei państwowych Karol Majer w Oświęcimiu otrzymał srebrny krzyż zasługi za wyratowanie dwóch tonących chłopców.

Opera lwowska w Peszcie. Pp. dr. Bandrowski i Heller otrzymali od dyrekcyi wystawy budapeszteńskiej propozycyę urządzenia szeregu gościnnych występów na wystawie. Jeżeli pertraktacye, które są w toku, uwieńczone zostaną pomyślnym skutkiem, będzie miała opera polska sposobność zrehabilitować się za granicami kraju z bardzo ujemnego wrażenia, jakie wywarła podczas wystawy teatralno-muzycznej w Wiedniu, gdyż dyrektorowie naszego teatru na wypadek wyjazdu do Pesztu postanowili dołożyć wszelkich starań, by zorganizować *ensemble*, który stanowczo zaimponuje zagranicy. Między innemi wystawionoby tam „Halkę“ i „Straszny dwór“ z Myszugą, Arklową, Stromfeld-Klamrzyńską, Dąbrowską, Konarską, Jerominem i innymi pierwszorzędnymi artystami.

Nieuzasadnione zarzuty. *Kuryer Lwowski* prowadząc dalej kampanię przeciw panu Michalskiemu, utrzymuje, iż syndyk dr. Pomianowski, ogłaszając, że sprawa pożyczki zaciągniętej przez pana Michalskiego jest już stanowczo wyrównaną, a tem samem załatwioną, zapomniał powiedzieć, kiedy się to stało, gdyż informacye *Kuryera* świadczą, że dług p. Michalskiego został wyrównany dopiero pod presyą artykułów tego dziennika, w dniu 30 bm. W dzisiejszym *Kuryerze* znajdujemy przeto taki komentarz:

„Pan kasyer miejski, zapytany wczoraj zrana (t. j. 1go lipca), jak się rzecz ma z tem „wyrównaniem“, — oświadczył, że pan Michalski istotnie „wczoraj“ to jest 30go czerwca zapłacił 792 guld. gotówką“.

Kuryer Lwowski wmawia przytem w opinię publiczną, że pisma, które stanęły w obronie czci p. Michalskiego, uczyniły to niejako z musu, ażeby popierać jakąś klikę, którą *Kuryer* nazywa „michalszczyzną“. O wysługiwanie się tej klice oskarża *Kuryer* prawie wszystkie lwowskie dzienniki, a wytykając im przewinienia ich, pisze:

„Za usługi przy wyborach — wbrew opozycyi dwudziestu radnych nominowano oberinżynierem człowieka bez kwalifikacyi, a w dodatku kubaniarza.

„Teraz znowu jednemu urzędnikowi buchalteryi miejskiej (który nawiasem mówiąc, z. r. pompował kasę podręczną departamentu IX go, zdefraudowaną następnie przez jego przyjaciela) przyobiecano posadę kasyera pożyczki 10-milionowej, i dlatego jak wściekły zaczął się przysługiwać klice. Istna Rplta babińska“.

Tyle *Kuryer Lwowski*. Owóż pismu temu tak samo jak wszystkim we Lwowie jest wiadomo, że *Przegląd* w obec stronnictw istniejących w Radzie miejskiej zachowywał zawsze i zachowuje teraz stanowisko zupełnie objektywne i niezawisłe. „Michal-

szczyzna“ tak samo nas nie grzeje ani ziębi, jak „Walichiewiczyzna“ lub „Mochnaczyzna“ czy „Piętaczyzna“ i dlatego przy wszystkich dotychczasowych wyborach do Rady miejskiej nie trzymaliśmy z żadnem stronnictwem i nie popieraliśmy żadnego. Właśnie to objektywne nasze stanowisko nakazuje nam bronić każdego z radnych przed atakami, jeżeli one nie są poparte niezbitymi dowodami winy. Tymczasem zarzuty *Kuryera Lwowskiego* przeciw panu Michalskiemu nie są tego rodzaju, iżby budziły wiarę, iż ten poseł sejmowy z miasta Lwowa dopuścił się jakiegoś nadużycia. Że domysł nasz był słuszny, potwierdza to dzisiejsza *Gazeta Narodowa*, która wyjaśnia, w jaki sposób p. Michalski stał się dłużnikiem fundacyi im. Franciszka Józefa, a wyjaśnienie to nietylko zmywa z niego wszelką winę, ale przeciwnie rzuca na niego bardzo piękne światło.

Oto co *Gazeta Narodowa* pisze: Z fundacyi im. Franciszka Józefa można pożyczyć najwyżej 500 zł. Śp. Fr. Momocki znajdował się był w chwilowo złych stosunkach i potrzebował niezbędnie 1000 zł. Postanowienie tedy ograniczające pożyczki dla jednej osoby do kwoty 500 zł. obszedł w ten sposób, iż jednych 500 zł. wziął sam za poręką p. Michalskiego, co do drugich zaś 500 złr. wystąpił p. Michalski jako pożyczający, a Momocki jako ręczyciel.

„W rzeczywistości atoli dłużnikiem zarówno co do jednych 500 zł, jak i drugich był Momocki, a p. Michalski kierując się tylko dobrocią swego serca, przyjął na siebie dla ratowania istotnie w owej chwili niezamożnego rękodzielnika Momockiego rolę poręczyciela co do jednych 500 złr., a rolę dłużnika co do drugich 500 zł. O wyzyskaniu więc przez p. Michalskiego stanowiska na swoją korzyść mowy być nie może.

„Że zaś p. Michalski nie spieszył się zapłaceniem tych kwot, to nic dziwnego, bo czyż są tacy, którzy chętnie i pospiesznie płacą poręczone długi, zwłaszcza, że jak w tym wypadku, pertraktacya spadkowa po śp. Momockim nie jest jeszcze ukończoną i nie wiadomo, czy nie można będzie zaspokoić pretensyi z masy“.

Wiec rusko-katolicki. *Diło* pisze: Dowiadujemy się z całkiem pewnego źródła, że w pierwszych dniach października, bezpośrednio przed obchodem jubileuszowym w dniu Matki Boskiej Pokrownej (13go paźdz.) w archikatedralnym kościele we Lwowie, odbędzie się wiec rusko-katolicki. Komitet czyni kroki do uzyskania błogosławieństwa św. Ojca i poparcia naszych ordynaryatów.

Doroczny popis szkoły p. K. Markiewiczowej odbył się dnia 30 czerwca i 1 lipca. Grało na nim z dobrymi postępami przeszło 40 uczennic.

Ze Stanisławowa nam piszą: W ubiegłym tygodniu mieliśmy tu dwa przedstawienia operowe. Staraniem dyrektora tutejszego Towarzystwa muzycznego p. Biernackiego odśpiewali amatorowie operę Moniuszki „Hrabina“ i wywiązali się z tego trudnego zadania ku ogólnemu zadowoleniu, czego dowodem to, że na liczne życzenia operę tę powtórzyć musiano.

Z Nowego Sącza nam piszą: Już to po drugi raz w uroczystość św. Ap. Piotra i Pawła sądeccy socyaliści urządzają sobie publiczne zebranie pod gołem niebem na targowicy drzewa podczas głównego nabożeństwa w obu kościołach, a to w tym celu, aby lud wiejski idący do świątyń pańskich i wracający z nich pochwycić i jadem swych doktryn zatruć. Tak było i wczoraj. Na 570 robotników w tutejszych warsztatach kolejowych, na 200 majstrów i czeladników w mieście, szajka tutejszych socyalistów liczy do 300 członków, z których wszelako zaledwie kilkudziesięciu rzetelnych socyalistów, a reszta — *plebs contribuens* — zwerbowana obietnicą lub groźbą, płaci miesięczną wkładkę, mało zresztą troszcząc się o zebrania i schadzki sekretne. I wczoraj socyalistów nie było więcej nad 60—80 z „towarzyszkami“, ale za to spory tłum ludu wiejskiego, żydzi, studenci (*sic*), a nawet poważniejsze osoby przysłuchiwały się mowie lwowskiego „towarzysza“ Żelażkiewicza czeladnika szewskiego, w której oświadczał się, że jest dobrym katolikiem, upewniał, że socyalizm nie jest wrogi katolicyzmowi, chociaż tu w Sączu kilku socyalistów za bluźnierstwa przeciw wierze ukarano sądownie, że oni w swych schadzkach i w warsztatach szydzą z praktyk religijnych, od nich się wstrzymują ostentacyjnie, lżą księży nawet w swych pisemkach, a redaktor *Naprzodu* dwa razy karany był za oszczerstwa na księży aresztem. Dowodził jeszcze, że socyalizm szanuje rodzinę, a socyaliści dobrymi są mężami, bo mają tylko po jednej żonie, „nie tak jak staro i nowo polska szlachta“. Krytykował ustawy: nową o wyborach bezpośrednich, zachęcał do dalszej agitacyi w tym kierunku itd.

Mniejsza już o to, co mówił, ale ta profanacya dnia świątecznego podczas głównego Nabożeństwa, przeciwna 3-mu przykazaniu Bożemu i 1-mu kościelnemu, obrażająca wierzenia i uczucia religijne 16.000 katolików parafii sądeckiej przez garstkę socyalistów — i to za pozwoleniem władzy — bo i komisarz rządowy i żandarmi i policya asystowali zebraniu, to jest, co oburza słusznie jednych, gorszy drugich, bałamuci pojęcia religijne mas ludu, rozzuchwala już i tak zarozumiałych socyalistów i podkopuje porządek społeczny, a to powinno być usunięte raz na zawsze.

Komitet korpusów wakacyjnych zamierza jak w ubiegłym tak i w bieżącym roku urządzić dwa korpusy wakacyjne, mianowicie: jeden męski, składający się z kilku oddziałów, a drugi żeński z jednego oddziału, i w tym celu rozesłał do Dyrekcyi tutejszych szkół ludowych ogłoszenia wpisów młodzieży szkolnej, potrzebującej powietrza świeżego, a nie mającej sposobności wyjechać na wieś w czasie wakacyi. Wycieczki chłopców odbywać się będą pod nadzorem nauczycieli, przeważnie na boisko gimnastyczne za parkiem Kilińskiego, gdzie dzieci mają przyzwoite i dogodne miejsce do zabawy i ćwiczeń gimnastycznych, tudzież kąpiele natryskowe tak przez dzieci ulubione; wycieczki zaś dziewcząt pod nadzorem nauczycielek, skierowane będą na Wysoki Zamek, gdyż miejsce to dla tego oddziału okazało się z powodu swej blizkości jak również nader korzystnego i pięknego położenia, najodpowiedniejszem. W miarę możliwości jednak będą wycieczki, skierowane i w inne miejsca za miasto, jak do Snopkowa i na Pohulankę dla chłopców, a na Strzelnicę miejską dla dziewcząt. Że instytucya korpusów wakacyjnych, od kilku już lat w mieście naszem istniejąca, jest pożyteczna, tego, zdaje się, chyba nikt nie zaprzeczy. Daje się tu bowiem dzieciom nie tylko sposobność przebywania po kilka godzin dziennie na świeżem powietrzu, ale i szlachetne zajęcie pod ciągłym nadzorem nauczycieli. Przy umiejętnie urządzanych zabawach dzieci uczą się porządku, punktualności w spełnianiu swych czynności i podporządkowania swej woli pod wolę starszych (przełożonych), co jest nader ważnym momentem w wychowaniu. Oddychając świeżem i czystem powietrzem i odbywając ruch odpowiedni, słabsze na zdrowiu dzieci nabierają sił fizycznych i krzepią się do przyszłej pracy szkolnej, dzieci zaś niedomagające pod względem umysłowym, przez gromadną zabawę, także i umysłowo się rozwijają, przez co stają się zdolniejszemi do pobierania nauk szkolnych. I pod względem moralnym dzieci wiele zyskują, odwraca się je bowiem od bezczynności, od nudów, a także od wynajdywania sobie niesmacznych i nieestetycznych zabaw, a w końcu odwodzi się je od przystawania i obcowania ze złemi, już zepsutemi dziećmi.

Papakosta i Affendakis. Z Budapesztu nadchodzą następujące wiadomości o szczegółach ucieczki z więzienia znanych hersztów bandy włamywaczy. Podług tych doniesień uciekli oni wspólnie z dwoma jeszcze złodziejami: Belą Kozarem i Dezyderym Scheiberem, odsiadującymi w tem samem więzieniu kilkoletnią karę.

O trzy kwadranse na pierwszą w południe woźny komitatowy spostrzegł jakieś indywiduum w zupełnym negliżu, które w sposób wielce podejrzany zsuwało się głównymi schodami i usiłowało wydostać się na wolność. Woźny wezwał podejrzanego jegomościa do zatrzymania się, a gdy ten nie usłuchał, zmusił go woźny do tego przemocą. Okazało się natychmiast, że owem indywiduum jest Dezydery Scheiber, który usiłował zemknąć z więzienia. Na alarm skutkiem tego powstały przedsięwzięto rewizyę więzień, która wykazała brak trzech więźniów, zamkniętych w osobnych celach, znajdujących się w środkowej części budynku. Zarazem okazało się, że dokonanie ucieczki możliwem było tylko dzięki niesłychanemu niedbalstwu stróża więziennego. Stróż ten pozwolił więźniom podczas przewietrzania ich cel przechadzać się zupełnie swobodnie po kurytarzu, a sam tymczasem poszedł do pobliskiego szynku. W ten sposób dostali się zbiegowie z pierwszego piętra na drugie, ztamtąd kurytarzem przeszli do przyległego gmachu komitatu i głównymi schodami wydostali się bez przeszkody na świeże powietrze. Cały wypadek jest tem charakterystyczniejszy, że Affendakis niedawno, bo przed dwoma i pół miesiącami zbiegł już raz z tego samego więzienia, poczem został pojmany.

Straszny koniec rzezimieszka. Z Zakopanego donoszą: Od jesieni roku zeszłego poszukiwała żandarmerya sprytnego rzezimieszka Józefa Stękały, zwanego także Pytlowaczem, pochodzącego z Cichego, miejscowości położonej pod Zakopanem. Stękała wyjechał przed branką do Ameryki, gdzie poznał znajomych z poblizkiej wioski, osiadłych tam i nieco zagospodarowanych. Po zawarciu ścisłej z nimi przyjaźni, zabrał biedakom ciężko zapracowany grosz w kwocie 925 dolarów i z łupem tym umknął do Galicyi, obrawszy sobie za siedzibę swą rodzinną wioskę, w której swobodnie żył, bawił się wesoło i kradł, gdzie mógł, a mieszkańcy wioski bali się oddać go w ręce władzy, przed którą dobrze się ukrywał. Kilka razy wprawdzie był już w ręku żandarmów, zawsze jednak sprytnie umiał się wywinąć. Śmiały, silny, odważny, nie tracił fantazyi, bo oto w wilię dnia krytycznego napisał do starostwa list, w którym kpiąc sobie, dodaje: „Niech sobie żandarmi porządnie mięsa podjedzą, nim mnie dostaną“. Żandarmerya wytropiła, że ukrywa się on w szałasach, na polanie zwanej „Jarząbek“, kilka mil od Zakopanego oddalonej. Wysłany na czaty żandarm Jan Knapiński wraz z drugim, rzeczywiście spostrzegli Stękałę, uwijającego się między szałasami, ale gdy się z kryjówki wychylili, spostrzegł żandarmów mały chłopak, który dał natychmiast hasło, na które Stękała schronił się do szałasu, a gdy żandarmi podeszli bliżej, a Knapiński zawołał trzykrotnie „stój!“ Stękała począł uciekać. Gdy i powtórne wezwanie nie pomogło, wtedy Knapiński strzelił i trafił uciekającego w głowę. Kula przeszła na wylot, a mózg wyszedł na wierzch. Stękała, padając, nie wydał najmniejszego jęku, chwycił się tylko za głowę i stracił przytomność. Wezwany z Zakopanego dr. Radziszewski obandażował mu głowę i począł mu łyżką wlewać do ust mleko, które Stękała z chciwością połykał. Nadzwyczaj silny posiadał on organizm, bo około godziny 5-tej po południu zaczął zrywać bandaże z głowy i ledwo mu w tem przeszkodzono. Drogą bardzo stromą i po sterczących kamieniach odwieziono go tego samego dnia do siostry, do wsi Witowa, gdzie też umarł.

Wójt-wróżbit. We wsi Lachowce powiatu bohorodczańskiego, zyskał sobie włościanin Iwan Krajnik, sławę wielkiego wróżbity. Przepowiadał on zwykle wszelkie nieszczęścia: grady, deszcze, pożary, powodzie, choroby, a przestraszonym chłopom tak to zaimponowało, że obrali go wójtem. Teraz zaczął sobie wójt na dobre gospodarować i wyzyskiwać chłopów na każdym kroku. Stale rezydował w karczmie, a za rozsądzanie spraw pobierał wysokie opłaty, bo nawet do 10 złr. Jednak pomimo swojej wszechwiedzy nie mógł sobie wójt wyprorokować, że pewnego pięknego poranku przyjedzie delegat powiatowy na szkontrum rachunków. Przy szkontrum tem okazało się, że w kasie gromadzkiej brakują pieniądze; Krajnik musiał je zwrócić, utracił sławę wróżbity a wnet utraci i wójtostwo.

Niebezpieczny towarzysz. Pani Lenk, żona urzędnika dyrekcyi skarbu w Oedenburgu, wybrała się przed paru dniami o godzinie 6 tej wieczorem z siostrą swą panną Carstanien na przechadzkę do pobliskiego lasu. Po drodze spotkał je daleki ich krewny nazwiskiem Bogdany i prosił uprzejmie o pozwolenie towarzyszenia obu paniom. Nie było powodu odmawiać mu tego i wszyscy troje odbywali dalszą przechadzkę wśród ożywionej rozmowy. Doszli wreszcie do lasu i zatrzymali się dla wypoczynku na niewielkiej polance porosłej trawą i upstrzonej bogato kwiatami. Trzeba było przynieść do domu jakąś pamiątkę z wycieczki, więc zaczęto zbierać kwiaty i wiązać je w bukiety. Pośród tej czynności nadeszła godzina 8-ma. Panna Carstanien była gdzieś w głębi lasu, a pani Lenk siedziała na murawie, kończąc wiązanie ogromnego bukietu i zdawała się tą robotą tak mocno zajęta, że nie zwracała uwagi na Bogdany'ego, stojącego obok niej w głębokiem milczeniu. Nie widziała też jak Bogdany ni stąd ni z owąd wyciągnął z kieszeni mały kilkomilitrowy rewolwer i korzystając z nieuwagi pani Lenk zmierzył jej w głowę i wystrzelił. Kula ugodziła ją w prawą skroń i pozbawiła życia natychmiast. W chwilę potem skierował Bogdany lufę rewolweru we własną skroń i wypalił po raz drugi.

Zwabiona hukiem wystrzałów nadbiegła z lasu panna Carstanien i wzrok jej padł zaraz na trupa siostry, leżącej z niedokończonym bukietem w rękach. Tuż o krok leżał raniony śmiertelnie Bogdany. Na krzyk przerażonej panny Carstanien zjawił się jakiś podróżny, który właśnie przejeżdżał drogą przez las wiodącą, sprowadził lekarza, ale o jakimkolwiek ratunku nie było już mowy. Pani Lenk była trupem, a Bogdany prawie dogorywający.

Wypadek ten wywołał w kołach towarzyskich Oedenburgu ogromne wrażenie, bo oboje nieszczęśliwi należą do najpierwszych rodzin miasta. Sensacyę potęguje brak wszelkich przypuszczeń co do tego, co się działo pod czaszką Bogdany'ego w chwili wykonania zabójstwa. Twierdzenie, że Bogdany działał pod wpływem chwilowego obłąkania, nie może zaspokoić naturalnej żądzy zrozumienia tej tajemniczej historyi i jest tylko komunałem, który rzecz może klasyfikuje, ale jej nie tłómaczy.

Znaczenie żądła u pszczół. Pszczoły posiadają żądło niekoniecznie tylko dla obrony, to bowiem stoi u nich dopiero na drugim planie. Właściwem przeznaczeniem żądła jest, by pszczoły z jego pomocą, a raczej za jego pośrednictwem, wprowadzać mogły do miodu substancyę, której przeznaczeniem chronić go od fermentu i w ogóle od zepsucia. Substancyą tą jest kwas mrówczany, umieszczony w gruczołkach jadowych, który zawsze spotykano w miodzie, lecz nie wiedziano, jakim sposobem on tam się dostaje. Obecnie wszakże stwierdzono, iż skoro tylko komórki w ulu zapełnione są miodem, to pszczoły zaraz kwas z gruczołków wydzielać poczynają, wpuszczając go do miodu za pomocą żądła.

W południowej Ameryce istnieje gatunek pszczół, nie posiadających żądła. Produkuje on miodu bardzo mało dla tego, że nie posiada środka miód konserwującego, jakim jest kwas mrówczany, który wydzielać mogą tylko pszczoły posiadające żądło.

Zmarli. We Lwowie, Aleksander Mojseowicz, c. k. oficyał pocztowy.—X. Jan Jabłonowski, gr. k. paroch w Lubaczowie. W Zakopanem Błażej Paszkiewicz, asystent szkoły zawodowej przemysłu artystycznego.

Stan powietrza. T. o 9 rano +12 R, w poł. +14 R. Bar. 762. Podnosi się. Deszcz.

Rozwiązanie szarad z numeru 148 *Przeglądu* brzmi: słońce, skała.

Trafne rozwiązania nadesłali: Aniela Rissdorfer z Zaleszczyk, Emilia Dobin z Uhnowa, Leon Kozłowski z Lipy, Józef Reichert z Dolinian, Tytus Cwiklicki z Halicza, Wanda Zgorlakiewiczowa z Glinian, J. Dudzińska i M. Sidorowicz ze Zbaraża, Justyna Jendlowa z Grybowa, Julia Skrzyńska z Rzeszowa, Wanda Gorczycka z Gorlic, Aniela Krzyczkowska z Hukałowiec, Aniela i Wanda Limanowskie z Telacza, St. Łaski ze Skoryk, Mieczysław Uranowicz ze Złoczowa, Ludwik Złoczański z Wolicy, Klotylda Waśniewska z Kamionki Strumiłowej, Marya Machniewiczowa z Krakowa, Klementyna Winiarska z Pilzna, Helena Słotwińska z Przemyśla, Malwina Fiderer z Husiatyna, Sagucka ze Słobódki leśnej, Zygmunt Kudelka z Bóbrki, Stefania Szelińska z Bursztyna, Halina Niesiołowska z Tarnowa, Salomea Kosanowska z Żółkwi, Amalia Grünhaut z Sanoka, Emil Hołod ze Stryja, Józef Ostrowicz ze Złoczowa, Szecherówne ze Stryja, Amelia Niemiec z Buczącza, Ks. dr. Józef Wacka ze Stryja, E. Remizowska z Woronienki, Wanda Sieczyńska z Przemyśla, Stanisław Witkowski z Przeworska, W. Barbaszewski z Dobromila, J. Kraft z Żółkwi, W. Gaberlowa z Brzuchowic, L. Makulska z Husiatyna, Marya Hahn z Werchraty, Jan Pinterhoffer z Winogradu leśnego, Towarnicki z Hołuczkowa, Helena Winiarska z Trembowli, Jadwiga Niedźwiedź z Wojniłowa, Franciszek Wawrzyszyn z Jastrzębiny, Hipolit Sozański z Jeziernej, ks. Alojzy Bilski z Krakowa, E. Królikowska z Grabownicy, Antonina Krzyształowiczówna z Wełdzirza, A. Czupa z Szegdów, Tekla Żankowska z Przemyśla, Gutowski z Nadbrzezia, W. Siarczyńska ze Stasiowej woli; zaś ze Lwowa: Emma Balzerowa, Zofia Sabat, Wanda Kubin, J. Zimmer, Józef Głowacki, Kazimiera Krzywobłocka, Olga Reinold, Marya Starzewska, Jadwiga Filippi, B. Olszewski, Zofia Kowalska, Julia Padiak, Julia Gutkowska, Kazimiera Bartl, Wanda Płachecka.

Fraszka.

Czytam dziennik — samobójstw jednego dnia sześć,
Trzech w łeb sobie palnęło, nie mając co jeść,
Dwóch, że dziesięć lat kradnąc, nie mogło kraść [dalej,
Jeden zaś, że możniejsi go prześladowali.
Rzecz smutna, kto wie jednak, czyli przeznaczenie
Nie prowadzi ludzkości do światła — przez cienie.

M. Rodoć.

Ze świata Gogów.

— Proszę cię, nie wiesz co się dzieje z Iksem?

— Nie wiem, to zresztą liche indywiduum, sam widziałem, jak jechał III klasą.

Buty go zdradziły.

— Czy nie wiesz, o której godzinie pan w nocy wrócił z kasyna do domu?

— Dokładnie nie wiem, proszę pani, ale jakiem o godzinie siódmej rano wzięła buty pana do czyszczenia, to były jeszcze ciepłe.

Z teatru. We czwartek 11-ty gościnny występ Mieczysława Frenkla „Ciepła wdówka“, komedya w 3 aktach M. Bałuckiego. W roli Feli wystąpi po raz 3-ci p. Lucyna Benzowa, artystka teatru im. hr. Fredry w Stanisławowie. W piątek nie będzie przedstawienia. W sobotę (w teatrze letnim) 12-ty gościnny występ M. Frenkla „Flirt“, komedya w 3 aktach Michała Bałuckiego. W niedzielę (w teatrze letnim) 13 ty gościnny występ Mieczysława Frenkla „Polowanie na zięciów“, komedya w 4 aktach Labicha i Delacour. W poniedziałek (w teatrze letnim) 14-ty i przedostatni gościnny występ Mieczysława Frenkla (na ogólne żądanie) „Porwanie Sabinek“, komedya w 4 aktach Fr. i P. Schönthanów.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** Dawno już u nas nie grana wyborna komedya Fredry „Wielki człowiek do małych interesów“, dała wczoraj sposobność p. Frenklowi do odtworzenia genialnie przez Fredrę napisanej a znakomicie przez artystę przedstawionej postaci Jenialkiewicza. Ile subtelnego cieniowania było w tej zupełnie oryginalnie pojętej postaci, ile tego szczerego wszystkich porywającego humoru, ile prawdy życiowej! To, co wczoraj odtworzył pan Frenkel, jest kreacyą, na jaką się zdobyć może tylko tak genialny artysta, jakim jest on.

Doskonałym był p. Żelazowski w roli Dolskiego, a niezrównaną pani Stachowicz w roli Matyldy. Zaznaczyć również winniśmy, że pani Kwiecińska wyglądała wczoraj doskonale i z wielkim wdziękiem wykonała rolę Helenki. Role młodych panienek, niemal podlotków, rzadko już się udają pani Kwiecińskiej. Jej tusza ociężała, ruchy i kształt ciała osoby starszej, nie nadają się do odtwarzania takiego tych postaci, aby widz utrzymywał estetyczne złudzenie. Wczoraj jednak wyjątkowo pani Kwiecińska doskonale wyglądała, a że dobrze ta artystka gra każdą rolę, to przecież wszystkim wiadomo.

Bardzo dobrym był wczoraj p. Kliszewski i zupełnie odpowiednim p. Hierowski. Przedstawienie szło bardzo składnie, wykonane z tym pietyzmem, z jakim nasza scena przystępuje zwykle do utworów ojca naszej komedyi.

Rozmaitości.

— **Jeść, by żyć.** Trzeba jeść, by żyć, a nie: żyć, by jeść. Wszyscy o tem dobrze wiedzą, a niektórzy nawet są posłuszni tej zasadzie; naturalnie mówimy tu nie o tych, którzyby z przyjemnością żyli, ażeby jeść, ale skromne środki zniewalają ich do powściągliwości gastronomicznej. Należałoby jednak stosować jeszcze niektóre przepisy, uznane za pożyteczne nawet przy funkcyi „jedzenia dla życia“. Z wielką szkodą niewiele osób ich przestrzega. Pewien lekarz hygienista odważył się nawet na paradoks w tym względzie; utrzymuje bowiem, że tylko ludzie dzicy umieją spełniać funkcye potrzebne do życia. Ludzie cywilizowani utracili instynkt i zastąpili go złemi przyzwyczajeniami; nie umieją już ani pić, ani jeść, ani spać, ani chodzić, ani słuchać, ani patrzeć, ani nawet oddychać.

Jest w tem trochę pesymizmu, ale zarazem i dużo prawdy. Na mocy przeświadczenia, że wielu rzeczy nie trzeba się uczyć, bo wszyscy je umieją, dochodzimy do tego, iż zapominamy o nich zupełnie. Warto też od czasu do czasu przypominać sobie na pozór powszechnie znane prawidła elementarne. Co się tyczy kwestyi posilania się — pierwszorzędnej, bo od niej w znacznej części zależy zasada „Zdrowy duch w zdrowem ciele“ — pierwszorzędne powagi na polu hygieny zalecają następujące przepisy. Nawet nie stosując się do nich dosłownie, dobrze jest pamiętać o nich przy każdej sposobności:

1. Jadać stale o jednych godzinach. — 2. Kto jest wątłej budowy i nie ma apetytu, powinien starać się jadać wtedy, gdy głodny; mało na raz, ale często. — 3. Należy jeść powoli i dobrze pożuć. — 4. Nie używać napojów zbyt zimnych przy jedzeniu potraw gorących.—5 Nie przyjmować prędko jednego posiłku po drugim. Trzeba bowiem trzech do czterech godzin, żeby strawić umiarkowany posiłek. — 6. Kończyć posiłek jadaniem skórki chleba, pomaga to trawieniu i czyści zęby lepiej od proszku. — 7. Nie siadać nigdy do stołu, gdy się jest zgniewanym lub zmęczonym długiem chodzeniem.— 8. Strzedz się przy stole czytania, studyowania, oraz wszelkich czynności zaprzątających władze umysłowe.—9. Dzielić swój posiłek z towarzyszami wesołymi i przyjemnymi i zajmować się lekką rozmową z nimi. — 10. Nie oddawać się nigdy gwałtownym ćwiczeniom niezwłocznie po posiłku. — 11. Zawsze być trochę głodnym i nigdy nie najadać się do sytości. — 12. Nie jadać nigdy tego, co jest wstrętnem. — 13. Unikać wszelkich sprzeczek przed posiłkiem, podczas posiłku i po nim.

Otóż elementarnych tych przepisów jest trzynaście. Fatalna cyfra! Kto z czytelników jest przesądnym, niech odrzuci z nich jeden, a pozostałych dwanaście zapewnią mu zdrowie, byle tylko pilnie ich przestrzegał.

SPORT.

Prawie równocześnie z krakowskiemi wyścigami, pomiędzy 16 a 21, odbyły się też wyścigi konne w Alag pod Budapesztem. W każdym z czterech dni było tylko po jednym znaczniejszym biegu. O pierwszym dniu już wspominaliśmy w ostatniej kronice „Sportu“.

Drugiego dnia bieg myśliwski, Handicap o nagrodę Towarzystwa, 5000 koron pierwszemu, 1000 drugiemu, 400 koron trzeciemu koniowi, meta 4800 metrów wygrała rotm. L. Hoffmanna klacz gniada 4-letnia „Evanthia“ po Ugod od Heldin (61 kilog. jeździł baron O. Dewitz). Hr. A. Ergoedy'ego klacz gniada 5-letnia „Dalila“ była drugą. Z 15 koni mianowanych biegały 3. Totalizator 5:14. Tego dnia w jednym z pomniejszych biegów hr. J. Baworowskiego „Fred“ był drugim, jeździł właściciel.

Trzeciego dnia, 18 czerwca, nagrodę Dunakesz, bieg z płotami, Handicap, 4600 koron, meta 2600 metrów, wygrał hr. J. Sztaray'a ogier gniady 4-let. „Terebes“ po Gunnersbury od Y. Galanta (74 kg. jeździł br. O. Dewitz). Drugą była p. E. v. Blaskovitsa klacz kaszt. 4l. „Aranyvirag (72 kg.) Totalizator płacił 5:21.

Czwartego dnia, 21 czerwca, odbył się najznaczniejszy z całego zjazdu bieg. Nagroda tysiąclecia — honorowa i 20.000 koron. Bieg myśliwski, Handicap, meta 5000 metr. Zapisano koni 34, biegało 4. Rotm. L. Hoffmanna og kaszt. 4-l. „Conjuror“ po Vinea od Clairvoyante (64 kg. jeździec br. O. Dewitz) 1. Hr. M. Esterhazy'ego wał. kaszt. 5l. „Törley“ (62 i pół kg) 2. Totalizator 5:27.

* * *

W Hamburgu odbył się dnia 21 czerwca bieg o nagrodę 70.000 marek — niemieckie Derby — dla koni trzyletnich, meta 2400 mtr. Zapisano koni 149, biegało 7, pomiędzy którymi 3 austryackie. Wygrał wychowany w Niemczech br. E. v. Falkenhausen og. gniady „Trollhetta“ po Kisber od Vilage Queen.

Następne trzy miejsca przypadły koniom austryackim, a mianowicie p. E. v. Blaskovitsa ogier kaszt. „Dandar“ był drugim; hr. E. Batthyany'ego ogier gniady „Ganache“ trzecim, a p. R. Wahrmanna ogier gniady „Bentinck“ czwartym. Totalizator 10:21.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 30 czerwca.

(Z.) Na targu berlińskim odbywały się wczoraj obroty zwykłym trybem, gdyż w Berlinie nie było święta. Ze względu na to, że zamknięcie kursów berlińskich odbyło się w silnem usposobieniu, przeważała i u nas w pierwszem stadyum tendencya zwyżkowa, zwłaszcza że arbitraż kupował cokolwiek na rachunek Berlina. Trwało to jednak bardzo krótko. Z Paryża bowiem nadeszły wiadomości, że tamtejsze sfery giełdowe z niepokojem oczekują rozpoczęcia w parlamencie debaty nad podatkiem kuponowym od rent, a i niemieccy finansiści zirytowani byli tem, że wicekról chiński Li-Hung-Czang podobno zachorował i dlatego nie pojedzie do Bochumu, gdzie sam miał porobić ogromne zamówienia.

Kartel naftowy przyszedł dziś do skutku. Zawarto go na dwa lata, wolno atoli wypowiedzieć go już w dniu 30 kwietnia 1897.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 350·30, węgierskie 379·50, Anglobanki 156·—, Uniony 284·50, Bankvereiny 265·25, Landerbanki 250·75, Ludwiki 218·—, Czerniowieckie 289·—, Elbethale 275·25, Renta papierowa 101·40, srebrna 101·45, austryacka złota 122·75, austr. renta wal. kor. 101·—, węgierska złota 122·75, węgierska renta wal. kor. 98·95, dukat 5·65, 20-frankówka 9·52—, marki 11·75, ruble 1·26¾.

Wiedeń 30 czerwca. Spirytus 15·70—15·90.

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 30 czerwca. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 827, węgierskich 3644 i niemieckich 584, razem 5055 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 28 do 30, dobre ciężkie 31 do 32, osobliwe prima 33 do 34, wyjątkowo — zł., za buhaje i krowy 21 do 30 zł. wszystko na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, Wassergasse 23.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 2 lipca. *Wiener Abendpost* donosi, że minister handlu bar. Glanz prosił ministra spraw zagranicznych hr. Gołuchowskiego, by oświadczył rządowi francuskiemu, że Austrya weźmie oficyalnie udział w wystawie międzynarodowej w Paryżu w r. 1900.

Berlin 2 lipca. Parlament niemiecki przyjął w trzeciem czytaniu cały kodeks cywilny. Na wniosek ministra sprawiedliwości przyjęto poprawkę, że trzyletnia nieuleczalna choroba umysłowa jednego z małżonków, stanowi powód do rozwodu.

Metz 2 lipca. W arsenale tutejszym wybuchł wielki pożar od iskry, którą wiatr uniósł z lokomotywy przejeżdżającego w pobliżu pociągu. W płomieniach zginęło pięć osób, między niemi jedno dziecko. Także pokaleczonych osób jest wiele. Szkoda zrządzona przez pożar jest bardzo znaczna.

Rzym 2 lipca. Parlament po długiej debacie w imiennem głosowaniu przyjął 171 głosami przeciw 89, do potwierdzającej wiadomości wyjaśnienia rządu w sprawie polityki zagranicznej.

Charlottenburg 2 lipca. Podczas wczorajszej burzy ugodził piorun w cmentarz w Westend podczas pogrzebu, trzy osoby zginęły, a 5 jest pokaleczonych.

Konstantynopol 2 lipca. Dziś naradzali się ministrowie nad ostatnim krokiem ambasadorów w sprawie kreteńskiej. Spodziewają się, że sułtan wyda firman, nadający ogólną amnestyę i przywracający konwencyę w Haleppo.

Dziś powieszono tu mordercę ormiańskiego Kirkora. W ogóle wszystkie wyroki śmierci, wydane ostatnimi czasy, bywają wykonywane dla odstraszającego przykładu.

Ateny 2 lipca. Dotychczas nie nadeszła żadna autentyczna wiadomość o zebraniu się sejmu kreteńskiego.

Na przedstawienie posła tureckiego co do wysyłania ochotników i amunicyi na Kretę, odpowiedział rząd grecki, że nic nie wie o takich transportach, a ponieważ komunikacya między Grecyą a zagranicą jest swobodna, przeto nie może nikomu zabronić udać się tam, dokąd mu się podoba.

Okręty angielskie i francuskie przybyły do Heraklionu.

HOTEL ZORZA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 1 lipca. M. hr. Drohojowska z Wiednia. M. Dunikowska z Bolanowic. A. Zajączkowski ze Starego Miękisza. F. Wolfarth z Kurzan. J. Obertyński z Odnowa. M. Komarnicki z Jarosławia. J. hrabia Mycielski z Przeworska. Z. Pajączkowski z Kołomyi. N. Gołaszewski z Toustobab.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wydział klubu miłośników sztuki fotograficznej zawiadamia p. Wiktora Bergera, kupca we Lwowie, Akademicka 8, wobec nieprzyjęcia listu naszego, że został na posiedzeniu d. 15 czerwca 1896 z klubu wykluczonym i że wskutek tego list rezygnacyjny p. Bergera stał się bezprzedmiotowym.

Lwów dnia 2 lipca (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 217.— do 220.—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 287.— do 291.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 372.— do 382·—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.30 do 111. 4 i pół proc. łos. w 50 lat. 99.80 do 100.50. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 98.20 do 98.90 4 proc. los. w 42 i pół latach 97.70 do 98.40, 4 proc. los. w 56 lat. 97.50 do 98.20.

Wiedeń 1 lipca. Notowania wieczorne. Kredyty 350·37, węgierskie kredyty 379.00, anglobank 156.25, bankverein 262.25, unionbank 284·—, länderbank 249·50, staatsbahny 356.50, lombardy 102.75, elbethale 274.00, akcye tytoniowe 168.00, rima 234.50, alpiny 77.70, renta majowa 101.40, węg. renta złota —.—, austr. renta koronna —.—, losy tureckie 53.25, węg. renta koronna 99.15, marki 58.80, ruble —.—.

29)

PANNA DO TOWARZYSTWA.

POWIEŚĆ

przez Florencyę Marryat.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

W pięć minut później konie ruszyły z przed ganku, uwożąc uczonego specyalistę, wynagrodzonego po królewsku przez rozpromienionego barona, który nigdy w życiu z taką ochotą nie podpisywał przekazu na bank.

Gdy pozostali sami, sir Allan ze łzami w oczach zwrócił się do swojego starego przyjaciela:

— Jolliffie, czy to może być naprawdę? — zapytał. — Zdaje mi się, że to chyba sen! Wycierpieć takie katusze niepokoju o nią, a potem dowiedzieć się, że się na tem skończy... na tem, o czem zwątpiliśmy już od tylu, tylu lat! Nie, to nie do uwierzenia!

— Nie dziwię się, że ta wiadomość zastała pana nieprzygotowanego, niemniej jednak jest ona rzeczywistą prawdą. Ale muszę teraz uprzedzić pana, żebyś się nie oddawał zbytecznym uniesieniom radości wobec lady Alicyi, bo trzeba jej strzedz przed wszelkiemi silnemi wzruszeniami. Niech tylko będzie spokojnie usposobiona i szczęśliwa do końca, a wszystko będzie dobrze.

— Czy ona wie już o tem? Czy powiedzieliście jej?

— Rozumie się... zaraz... Trzeba ją było uspokoić, bo inaczej wyobraziłaby sobie nie wiem co.

— I jakże to przyjęła, Jolliffie, jak?

— Podobnie jak i pan. Z razu nie chciała wierzyć, ale teraz już wierzy.

— Biegnę do niej... Moja droga, biedna Alicya! I pomyśleć, że jej długa, anielska cierpliwość została nareszcie wynagrodzoną!

— Będzie to istotnie niełada nagroda. Wyobraź sobie, panie baronie, tęgiego, rumianego chłopaczka, jadącego na kucyku przez włości przy twoim boku. Nie będzie on długo jedynakiem, uprzedzam; bo jak co tylko powiedziałem do miss Chichester, nie dziwiłbym się wcale, gdyby miał czterech lub pięciu braciszków i siostrzyczki. Lady Chichester, raz wszedłszy na dobrą drogę, będzie dalej szła po niej tryumfalnie aż do końca.

I poczciwy doktor, zacierając ręce z radości, roześmiał się głośno ze swego dowcipu, a sir Allan, pływający z radości, miał ochotę uczynić to samo.

— Allanie — wtrąciła nagle mis Hanna — musimy go nazwać Geoffreyem, po naszym ojcu. Nie chcę żadnego innego imienia, chyba że ty dodasz swoje na drugie.

— Zawcześnie jeszcze myśleć o tem — odparł brat z uśmiechem.

— Nie powiem tego. Przecie trzeba będzie całą bieliznę poznaczyć, bo nie sądzę znowu, żebyś dopuścił do tego, aby przyszły dziedzic Glebe Royalu przyszedł na ten świat, nie posiadając koszuli do przewdziania. Ale wy mężczyźni nie znacie się wcale na takich rzeczach.

— Ja tylko jedno teraz rozumiem, Hanno, to jest, że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Pójdę powiedzieć to mojej drogiej Alicyi. Bywaj zdrów, Jolliffie! Niech cię Bóg wynagrodzi za radość, jaką mi sprawiłeś. Nie zobaczycie mnie już dziś do samego wieczora.

To mówiąc, poskoczył na schody. Na korytarzu spotkał się z miss Murray.

— Czy doktorowie już poszli? — zapytała z zaniepokojoną twarzą. — Jakież jest ich zdanie? Mam nadzieję... och, mam nadzieję, że nie znaleźli nic tak bardzo złego.

Widok jej przypomniał sir Allanowi niemiłe wspomnienie, ale on był tak upojony swojem szczęściem, że nawet się tem nie zafrasował.

— Wcale nic złego — odparł z jasnym uśmiechem. — Przeciwnie, nawet dobre, bardzo dobre. Jesteśmy wszyscy uradowani. Jeśli pani chcesz wiedzieć, to idź zapytać mis Chichester.

— Czy mogę iść z panem do milady? Może potrzebować moich usług.

— Nie, nie! Nie teraz! Nie potrzebuje nikogo prócz mnie, i nie chcemy, żeby nam przeszkadzano!

To mówiąc, sir Allan poskoczył do pokoju żony i zostawił ją stojącą w środku korytarza, oniemiałą ze zdziwienia i z głęboką zmarszczką na czole.

ROZDZIAŁ XVIII.

Lady Alicya, ubrana w jasny, liliowo prążkowany szlafroczek, licujący z delikatną jej cerą, w białej koronce, narzuconej na jasne zlekka falujące włosy, siedziała przed kominkiem, pogrążona w niebiańskim zachwycie szczęścia, a stara Joanna Wood z niezwykłym wyrazem twarzy, na której znać było jakby ślady wzruszenia i grymas radości, stała obok, porządkując coś na toalecie, w rzeczywistości zaś sama nie wiedząc co robi.

— A co? Czy nie mówiłam zawsze milady, że z czasem wszystko będzie w porządku, jak należy? Już dawno byłoby się to stało, gdyby pani słuchała rad swojej starej, wiernej piastunki.

Lecz mowy jej przerwane zostały raptownem wejściem sir Allana, który jednym skokiem dopadłszy do nóg żony, oba ramiona zarzucił dokoła jej kibici. Stara niania wymiarkowała od razu, że obecność jej jest tu zbyteczną. Spojrzała ukradkiem na klęczącego pana i wysunęła się cicho do przyległego pokoju, ocierając łzy fartuchem.

— Alicyo! — zawołał sir Allan, gdy zostali sami. — Moja droga, jedyna Alicyo!

Ona spojrzała w głąb pałających oczu, namiętnie zwróconych ku niej, i wyczytała w nich ten wyraz bezgranicznej miłości, jakiego nie widziała już od lat wielu. Zbladła jej twarz zabarwiła się od tych płomieni rumieńcami minionej młodości, blade usta rozchyliły się uśmiechem niewysłowionej błogości i ci małżonkowie, od lat dwudziestu poślubieni, byli znów w tej chwili rozkochani w sobie, jak młody chłopak z dziewczyną, którą wiedzie do ołtarza, marząc o długiem życiu szczęścia i rozkoszy.

W jesieni żywota szczęście dało im drugą wiosnę.

— O! Allanie! jakże nieskończenie wdzięczną jestem za to Bogu! — szepnęła, tuląc się do niego wśród łez.

— Ach, ja jestem, jak szalony z radości!.. Świata nie widzę przed sobą. Przeszedłszy taki okropny niepokój o ciebie, najmilsza moja, dowiedzieć się w końcu, że takie wielkie, niespodziane szczęście ma spaść na nas... to prawie nad siły ludzkie znieść taki ogrom radości. Więc te wszystkie nasze długoletnie nadzieje i tylokrotne zawody otrzymają nareszcie nagrodę tylu cierpliwości! I coś ty na to, mój aniele?

— Ja! Mój najdroższy! I ty pytasz o to? Wolałabym sto razy umrzeć, niż zawieść się raz jeszcze. Pomyśl tylko... nasze dzieciątko... nasze własne dzieciątko! O! zaledwie śmiem dowierzać temu.

— I nigdy nie podejrzewałaś prawdy?

— Nigdy. Nawet mi to przez myśl nie przeszło po tylu latach. Było to istnem objawieniem dla mnie, zarówno, jak dla ciebie. Lecz profesor Norman powiada, że to nie ulega już żadnej wątpliwości i że od dawna byłabym spostrzegła, gdyby nie to, że jestem tak osłabioną. Ja byłam jednak tak pewną, że organizm mój nurtuje jakaś straszna, śmiertelna choroba, iż myśli moje nawet nigdy nie błądziły w innym kierunku.

— Byliśmy niedoświadczeni, jak dwoje dzieciaków, nieprawdaż, moja droga? Lecz na przyszły raz będziemy rozumniejsi, co?

Jego wesołość i serdeczność tak ożywiły chorą, że zdawało się, iż ubył jej jaki dziesiątek lat.

— O! Allanie — westchnęła — czasem obawa mnie bierze, czy jestem godną tak wielkiego błogosławieństwa, bo nieraz sarkałam na swój los i miałam żal do Boga, że odmówił mi szczęścia, jakiem obdarzał inne kobiety. Tak gorąco zazdrościłam matkom, które napotykałam z dziecięciem u łona, że inne strony dodatnie mojego życia wydawały mi się niczem. I czasem... czasem...

— Co? — podchwycił mąż, który ochłonąwszy już z pierwszego uniesienia, przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej, trzymając ją za rękę.

— Nie gniewaj się na mnie, Allanie, bo widzę dziś, że to było tylko niegodziwe przywidzenie z mojej strony; lecz czasem zdawało mi się, że i tobie nawet uprzykrzyłam się i stałam ci się niemiłą dla tego, iż nie dałam ci dzieci, i popadłam w taki stan zdrowia, że nie byłam dla ciebie żadną towarzyszką, że gdy widzisz inne kobiety, silne i zdrowe, staje ci w myśli gorzki zawód, jakiego doznałeś z mojej przyczyny, i nieomal pragnąłbyś, aby już był ze mną koniec, by módz uczynić inny wybór. To mi się tylko zdawało, mój najdroższy — tłómaczyła się lady Chichester nieśmiało, widząc, że głowa męża opuszcza się coraz niżej ku piersiom. — Wiem przecie, że nadto jesteś dobry, aby mi życzyć czegoś podobnego; tylko, widzisz, kobieta, która nie ma dzieci, czuje się takim błędem w rodzinie i społeczeństwie, iż myśli, że wszyscy pogardliwie i niechętnie na nią patrzą.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jeszcze za mało wiadome, jaką ogromną przyjemność sprawić sobie można przez codzienne kąpiele nosowo odolowe *) Nadzwyczaj orzeźwiające działanie na błony śluzowe nosa i krtani taką sprawia przyjemność, że każdy kto się przyzwyczaił do odolizowania otworów nosa—więcej tego nie zaniecha za żadną cenę. Wedle naszego mniemania są kąpiele nosowe odolowe*) wogóle konieczne, aby módz istotnie zdrowym się poczuć. Każdy nam racyę przyzna, kto się do tych kąpieli przyzwyczai.

Lecz i ze względów higienicznych muszą kąpiele nosowe odolowe mieć skutek nader dobroczynny; bo gdy się zważy, że prawie wszystkie zarazki, proch i brud zawarte w powietrzu przez nos i usta przechodzą i w części na błonie śluzowej nosa i krtani się zatrzymują, to przyznać trzeba koniecznie, że codzienna kąpiel antyseptyczna tych błon śluzowych tylko korzyść przynieść może — i to w każdym kierunku. Wtedy nawet dziwić się trzeba, że wielu ludzi tak dbałych o swoje zdrowie, aż dotąd zupełnie z oka spuścili konieczność antyseptycznych kąpieli błony śluzowej nosa.

Jeszcze jeden skutek codziennego odolizowania otworów nosowych trzeba wziąć na uwagę: Błony śluzowe stają się mniej wrażliwe na zmiany temperatury, a więc mniej skłonne do zaziębiania.

Ale na jedno chcemy szczególnie zwrócić uwagę. Jak każdej rzeczy tak i kąpania nosa uczyć się potrzeba. Nie wolno poddać się, gdy się sprawa raz nie uda. Przyjemność jaką nam codziennie odolizowanie sprawi, warta jednej lub drugiej próby.

Należy najpierw zapamiętać: nie wolno odolowej wody wysoko wciągać, trzeba jej dać samej w otwory nosa wpłynąć*). Woda musi sama znaleźć drogę przez otwory nosowe do ust (patrz figurę). Kto chce wziąć z sobą Odol na podróż, niech wyraźnie zażąda flaszki **podróżnej**. Mamy specyalnie dla podróży flaszki Odolu z kapslą do zamknięcia patentowaną (nowość absolutnie pewna). Ceny to nie zmienia. Odolu kosztuje cała flaszka (flakon do szprycowania oryginalny) wystarczająca na kilka miesięcy złr. 1, pół flaszki 60 ct, w aptekach, droguerjach, perfumeryach itd.



*) Rozumie się, że kąpiel nosową odolem, wyprzedzić musi czyszczenie ust nosa odolem.

*) Szklankę jak do picia bierze się do ust, przychyla się głowę zwolna ku tyłowi aż poziom wody na jednej linii stanie z otworem nosa. Przy tej sposobności wpłynie część odolu do ust przez otwory nosowe. Wtedy prędko przechyla się głowę naprzód i wypluwa wodę. Tę operacyę powtarza się 2—3 razy. Przy pierwszych próbach okaże się drażnienie w utworach nosowych, lecz nie należy prób zaniechać, po kilku, rzecz pójdzie doskonale. Przedewszystkiem baczyć należy, aby wody nie wciągać za wysoko (bo to często jest bolesną rzeczą) ale zwolna dać jej wpływać i w małej ilości. Te kąpiele nosowe mają to dobre, że chronią przed zaraźliwymi chorobami, a nadto i tę przyjemność, że nos zawsze jest wolny.

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Manieckiego i Spółki (Hotel Żorża). Zarządca W. Hodak.